CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

Odra
Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NUMER 33 (90) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 17 SIERPNIA 1947 ROKU ROK III

JAROSŁAW ROGALA

Rys. JANUSZ ŁONICKI

„Starostenburg"

Oszczędna jest „Simca" z apenińskiego kraju, gdzie każdy litr paliwa trzeba kupić za nieposiadane pieniądze: pije tylko 9 ltr. na 100 km. Po drogach równych niesie pięknie...

Jedziemy przez szczęśliwe Nowogardzie. Nie tylko przy szosach, ale i przy bocznych drogach — wszędzie zieleni się przyszły plon. To najlepiej zagospodarowany powiat Przyodrza, najlepszy w województwie.

Nie docieramy jednak do samego Nowogardu, od Goleniewa pędzimy wprost na północ. Wkrótce uderzają nas barwne ugory kamieńskiego powiatu. Zaraz będzie Przyborowo.

Wzdłuż drogi napotykamy jeszcze niezasiedlone domki. Każdy hektar ugoru tłumaczy się brakiem człowieka.

Na przyodrzańskich torfowiskach bieli się kwiatem wełnianka.



Most ku Wolinowi jest wysadzony

Nie dojeżdżamy także do starożytnego Kamienia. Łagodnym skrętem kierujemy się ku wyspie. Miło, że w Polsce jest wyspa: jedna duża, a drugiej — jak dotąd — tylko cząstka. Kto wie, może dojdzie i Rugia, aby posiąść cały kompleks wysp, panujących nad trzyramiennym ujściem Odry.

Most ku Wolinowi (powinno być Wołyń!) jest wysadzony. Ukazuje się zarys ruin miasta. Marzy się Wineta i korsarski Jonsborg. Zjeżdżamy w lewo na prowizoryczną przeprawę. Świeże drewno niektórych poręczy wskazuje, że ten most nie wytrzymał wiosennego naporu lodów. A teraz Dziwna (jeden z trzech „rękawów" Odry) jest spokojna i letnio łagodna. Bliskość morza sygnalizuje majacząca górą biel mewy.

Wąska uliczka utyka w rynek, którego nie dotykając skręcamy w tył, by równoległą do poprzedniej, trochę szerszą uliczką wydobyć się z min i porąbanych granatami sylwet kościołów na równą, gładką szosę. Na całej wyspie otacza nas przewaga lasów, bujnych lasów, przeważnie liściastych.

Nagle rolnicza gmina. — Miło brzmi nazwa: Drogobądź. Coś jakby: Drogą — bądź... Zanim osiągamy „stolicę" gminy, ukazuje się skrawek wodnego przestworza. Pierwsze wrażenie... morze! Nie. To szeroka zatoka szczecińska. Jaśniejszy, miększy jest kolor tej wody. — Niemniej podobna do morza, które jest tak blisko.

W żniwa, na rozścielonych łagodnymi wzgórkami polach, szczególnie egzotycznie dla lądowego oka wyglądają drabiniaste wozy, na które widłami dziewczyny podają snopy. Na wodnym tle bryła wozu pozłocona urodzajem, a raz po raz na to morskie tło, nad wóz wystrzela nowy, złoty w słońcu, snop... Aż wóz zasłoni niebieskie tło zatoki.

Za chwilę czeka nas nielada sensacja. Trzeba tylko skręcić z świnoujskiej szosy ku Lubliniowi i tuż nad asfaltem, po stromym stoku leśnej góry ścielą się trzy wyrzutnie pocisków V1. A może ta trzecia, najdoskonalsza ciskała V2. Oczywiście są zdemontowane, ale zakrój całej konstrukcji zachowany doskonale. Można też schodami wyjść na sam szczyt, skąd pociski zapewne wylatywały ku dalekiej Wyspie Brytyjskiej, a w każdym razie, na finiszu wojny, biły w Gdańsk.

Dojeżdżamy do rybackiej wioski nad zatoką. Kamieniste dróżki schodzą w dół ku łodziom. Spod nóg zabawnie uciekają dwa czarne baranki, których matka pasie się na zboczu.

Pachnie rybami. To sieci suszą się na żerdziach: żaki ze swymi sercami, skrzydła ich i płoty. Z tych serc, raz zapadłe w nie ryby nie wychodzą już nigdy na wolność...

U nóg, tuż przy brzegu, kołysze się pod wodą biała, zdechła flądra. Od łąk, zachodzących półkolem w horyzont, wiatr niesie lotne nasiona mleczów. Trawę z tych łąk kosi się jak każdą inną, jednak przerzucanie jej do wsi jest kłopotliwe: naprzód na plecach do łodzi, a potem: ile łódź uniesie...

Chłopcy po brzegu brodzą i puszczają małe łodzie. Jeden ma nawet doskonalszą zabawkę z jakimś napędem. Słychać wileński akcent.

Obstępują nas rybacy — nowicjusze. Jeden był poprzednio leśnikiem. Młody, silny, opalony.

Przy stole słuchamy opowieści o barwach skóry rozmaitych gatunków węgorzy. Grube ich dzwona tłusto odświecają na miśnieńskim półmisku.

— To jak wieprzowina między rybami — objaśnia nam swe złote myśli podstarzały już Kazio-warszawiak. Trzyma on jeszcze Niemca i stara się podpatrzeć jego przybrzeżne, a może i dalekomorskie sekrety. Z wysiedleniem ostatnich Niemców rybacy, niedość wprawni jeszcze, będą musieli długim trudem zdobywać sobie doświadczenie wieków rybackich rodzin.

Kazio lubi wypić. Wkrótce zdradza mi — na ucho oczywiście — zawodową tajemnicę... miękości wędzonego węgorza.

— Trzeba wypatroszyć — szepcze, rozszerzając swoje jasne, rybie oczy — potem w soli...

...i teraz następuje sedno sekretu, którego obiecałem nikomu nie zdradzić...

Obok drugi rybak - amator, lidzianin, skarży się, że siedział za... przemyt Niemców na drugą stronę... Potem wspólnie marzą wszyscy o samochodzie, który mógłby ich połów wozić na sprzedaż.

— Gdybyśmy — woła eksleśnik — tak choć kupili ten samo...

— To byśmy naraz załadowali się — wpada w pół słowa Kazio — i wio do Warszawy!

Wśród ogólnego śmiechu okazuje się, że jednak Kazio żyje z ryb dostatnio, ma ładne mieszkanie i na „perełkę" do gardziołka nawet mu starczy.

Możeby tak auto PKS-u zawijało do nich choć raz na tydzień w drodze do Międzyzdrojów.

Siostra leśnika przynosi świeże mleko. Proszę o szklankę. Wszyscy starają się mnie odwieść od samobójczego zamiaru. Piję, jedną jak zawsze, szklankę duszkiem...

Kazio patrzy, mruga wesoło.

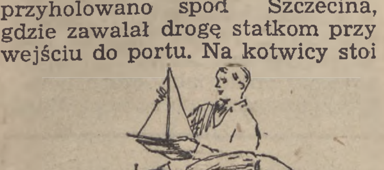
— No, dajcie mnie też — woła. — Niech i ja raz się struję.

— Włos mu z głowy nie spadnie — zachęca jego sąsiad, wskazując na łysy łeb Kazia.

Wkrótce śródleśnym, gładkim asfaltem gonimy do Świnoujścia. Jeszcze raz z lewej strony ukazuje się morze — podobna zatoka.

Między rozstrzelane pociskami, niszczejące domki i przez tor wpadamy nad brzeg środkowego rękawa Odry, łagodnej Świni.

W prawo widnieje latarnia morska, w lewo wrak ogromnego lotniskowca, który niedawno temu przyholowano spod Szczecina, gdzie zawalał drogę statkom przy wejściu do portu. Na kotwicy stoi



Chłopcy po brzegu brodzą i puszczają małe łodzie...

sowiecki statek „Pietrowskij". Przesuwają się dwie kanonierki z polską banderą.

Nasi marynarze, których szkolił tu wytrawny komandor Steyer, prezentują się wręcz elegancko. Komandor niedawno temu został admirałem i dowódcą naszej floty.

Z drugiego brzegu podjeżdża prom. Kierownictwo marynarki sowieckie, obsługa niemiecka. Zabierają wszystkich i za darmo: auta, wozy, ludzi, towary. Pakujcie się ile wlezie! Prom wszystkich uniesie na uznamską stronę, na drugą wyspę, której tylko cząstka...

Stoją tam szeregiem całe domy, w których oczywiście są knajpy. „Port", „Pod marynarzem" — głoszą szyldy.

Przybijający prom roztrąca i kołysze oka tłustych smarów i ropy rozlanych na powierzchni wody. Oka mienią się kolorami tęcz i pawi.

Z przeciwległej strony bocznego kanału marynarz - sygnalista wali serię znaków semaforowych. Spod naszego cembrowanego okapu lądu wystrzela ku niemu łódź biała, jak denko letniej marynarskiej czapki.

Kołnierze naszych marynarzy są zdobione szerszymi tasiemkami bieli, sowieccy chłopcy z Bałtyckiej Floty noszą tradycyjne dwie wstęgi z tyłu czapek, te same jak za rewolucyjnych czasów Kronstadtu.

Po załatwieniu naszych spraw w Świnoujściu, stolicy wyspiarskiego powiatu, chcieliśmy dopaść na noc Ustronia za Kołobrzegiem, lecz... prom nagle pojechał brać węgiel i trzy godziny tkwiliśmy bezsilni na uznamskim brzegu.

Cały plan upadł. Trasę w ogóle okroiliśmy, a gdy prom wreszcie pozwolił wyskoczyć naszej „Simce" na woliński brzeg, skierowaliśmy się na drogę dalszych niespodzianek. Nocowaliśmy w Międzyzdrojach.

Ludzi na ulicach wiele, lecz mało który zadomowiony. Nie znają się nawzajem. Ten wilniuk, ten świeżo zdemobilizowany. Wiedzą jednak, w której stronie nadmorska aleja hoteli i pensjonatów.

Stajemy w „Polonii". Biały, nowoczesny kształt gładkich płaszczyzn, po niemiecku „zdobiony" pasmami zwyczajnych cegieł. Jakby Niemiec mógł obyć się bez „pokazania" cegieł!

Dostajemy wygodne pokoje. Pół widoku morza zasłania po-wehrmachtowski barak, o którego przesunięcie pod las ściera się kierownictwo uzdrowiska z miejscowym WOP-em. Kto wygra?

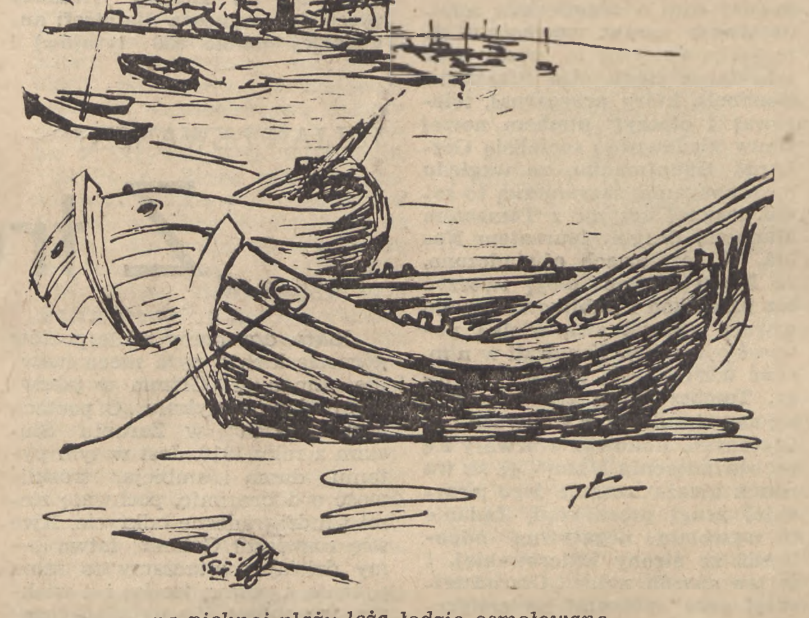
Na pewno jednak, gdy zjadą zapowiedziani ministrowie, znajdzie się sposób przeprowadzenia odsłonięcia widoku fal.

— Tego roku, nie tylko z powodu usilnego zwalczania ich proszkiem po krzewach, pokojach, a nawet okolicznych bajorkach, — mówi mi ktoś z kierownictwa — nie ma komarów...

— Jak to? — wybucham. — Dlaczego?

— Z całą pewnością — słyszę uparte twierdzenie. — A dlaczego? Im tylko wiadomo... — a po chwili łamie się mój rozmówca. — Jeżeli panu tak potrzebne, to może później się pokażą. Kto ich tam wie...

Na pięknej piaszczystej plaży leżą osmołowane, czarne łodzie. Trzeba przekraczać wiążące je sznury w wędrówce ku niedalekiemu molo. Morze pluszcze większą, wieczorną falą... Zmierzcha się. Jeszcze w prawo nad lasem na wzgórzu majaczy zarys muru. Tam, ponoć, któryś z piastowskich Barnimów miał swoją nadmorską strażnicę. Pewnie nie raz patrzał, z tego wysokiego obrywu w dal sino-chmurną nieprzyjaznego Bałtyku, na płytę ciężkiego morza, po którym cuduje się żywa, jak mewa, koronka pian.



...na pięknej plaży leżą łodzie osmołowane

W prawo zapala się świnoujska latarnia morska. Wiatr świeży i słonawy. Kołysze myśli jednostajny, nieodparty plusk.

Dyrektor Uzdrowisk Państwowych województwa opatruje przed sezonem wszystkie swe wychuchane zakłady, niby rodzic pannę przed tańcem. W werandowej sali jemy śniadanie, dowiaduję się, że Międzyzdroje tego roku przekroczą 50 procent maksymalnych swych możliwości komfortowych, będą ludne, w dużym stopniu powinny opłacić zainwestowane ulepszenia. Ustronie sięgnie najwyżej, bo aż 70 procent możliwości, jednak jest mniejsze i gorzej związane ze Szczecinem.

Niedziela, już teraz, daje przedsmak pełni sezonu: ciepło, słonecznie, rozleniwiająco. Przybywają auta, zaludniają się plażowe kosze, krążą kostiumy czerwone, żółte, czarne, niebieskie. Ówdzie brązowa skóra kogoś, co wcześnie zaczął swoje wczasy. Dzieci w skupieniu sypią górę piasku na rezolutnej blond - dziewczynce. Dwaj chłopcy, zaciąwszy zęby, zawzięcie opryskują się wodą. Szczeka na nich śliczny spaniol, cały mokry i najeżony.

Na horyzoncie morza stoją wraki zatopionych, wielkich statków morskich. Tragiczne widma, ozdoby spokoju plaż, pamiątki ich niepokoju.

W przeciwną — na Dziwną! — powtarza szofer, gdy wyjeżdżamy spośród will na asfalt ku wschodowi.

Las nas odgradza od bliskiego przecie brzegu. Obficie, gęsto, chłodnawo od soczystej, splątanej zieleni. Tylko gmina Kolczewo wita nas łanami żyta i niewysokich jeszcze jarzyn. Przy drodze, jak w środku Polski, wznieśli osadnicy zwykły z Męką krzyż.

Oplata go fiołkowa girlanda z leśnego łubinu.

Żołnierz na szlabanie WOP-u bada dokumenty auta, nawet sprawdza numer silnika. Potem marynarze na swoich szlabanach, wkoło nadmorskiego lotniska, będą bardziej nam dowierzać.

Dziko tu, pusto..., jakoś leśno-morsko...

Nagle na lewo, w sosnach stoją hydroplany! Jeden, drugi... Potem bombowiec. Wszystkie znaczone krzyżami wehrmachtu. Podchodzimy, zmilkli od niezwykłości spotkania. Kryły się w tym zwyczajnym lesie silne maszyny, gotowe wzlecieć lądem czy morzem, napaść na polski może okręt wojenny, na polskiego może chłopca, co w alianckiej maszynie niósł bomby nad swój może własny kraj, zagarnięty chwilowo przez wroga.

Te maszyny nie odleciały, gdy szła ku nim miażdżąca ofensywa. Któż zna tajemnicę ich pozostania?

Teraz są straszydłami drogi na Dziwną, butwieją na swoich. niegdyś wodoślizgich płozach.

Szofer spokojnie ucina kozikiem ostatni kawał gumy z koła, na którym samoloty te toczyły się ku startowi.

— Przyda się na zelówki — mówi trzeźwa zapobiegliwość oblatanego człowieka. W I Armii swego czasu podwoził amunicję na sam front. Nieraz patrzał grozie w środek źrenic.



...stoją szeregiem domy, w których są knajpy

Przez Dziwnoujście przeskakujemy wąskim mostkiem z poręczami. Za nim rozbita wieś. Wzdłuż drogi ciągnie się gruby kabel. Skręt na Kamień. Gdy podjeżdżamy, widać wyraźnie zarys surowego, gotyckiego kościoła.

Niesposób go pominąć. Gotycką koronką rzeźb czaruje nazewnątrz, wewnątrz śmiałe żebrowania. W głównym ołtarzu nieduży, zczerniały obraz z Chrystusem, naprzeciw bogate, barokowe organy. Snuje się po nim książęce imię, przypominające ostatki słowiańskich władców tej ziemi, ginących właśnie, gdy powstawał ten przestylizowany instrument. Chrzcielnica jest na pewno starsza od obecnego kościoła. Może to owa pierwsza, którą dla Chrobrowego biskupstwa tu wykuto. Tuż, podobnie kuta w kamieniu, duża płyta grobowa, z zatartym napisem.

Pod tynkiem odkryto tu stare, pobladłe freski. Wieje z nich milcząca starożytność. Zapomina się, że i ona była tu kiedyś nowinką, której przeciwstawiał się siwy, prastary kult, który nie umiał dostrzec, że to Wielka Nowina.

Pół na pół kładą się po obu stronach rude szczawiki odłogów, żyt, lepszych gdzie podsypano nawozy sztuczne, owsa, jęczmienia, mieszanek. Przez Płoty — Resko — Starogródek przebiega droga. Oko oswaja się z ruinami domów. Są przeplecione ze zdrowymi domami. Nie widzi się ich bardziej niż barwy szczawików. Oswojone oczy nie widzą ich, nie stają na nich, nie mógłbym określić ich ilości. Cóż, niestare, po-wraże domy. Nieważne, że przepadła ich część. Skoro tak się stało — doczekamy aż pobudujemy się na nowo, po swojemu. Gorzej, że dawniej tu przepadło tyle po wypartych, wymarłych, lub wynarodowionych...

Blisko już do Połczyna. Białogardzki powiat jest kwitnący i bogaty. Zdobywali go polscy żołnierze, dobra jego ochroniła I Dywizja Rolniczo-Gospodarcza, twór osobliwy, lecz dobrej tutaj pamięci.

Połczyn-Zdrój jest nietknięty. Coś dwa domy spalone. Od początku był oazą wszelkiej pomyślności. Kościół i Browar królują nad miasteczkiem.

Inaczej tu niż w nadmorskich wypoczynkowych ustroniach. Tu w śródlądowej oprawie łagodnych pagórków, snują się uważne, skupione. obserwowane dni wszelkich kuracji, których podstawą jest wanna: borowina, kwasowęgiel, igliwie itp.

Obieramy teraz najpiękniejszą drogę województwa: na Czaplinek.

Wężem ścieli się doskonała nawierzchnia. Cudowne są leśne, gęsto porosłe pagórki, między którymi rozrzucone są srebrnawe jeziora.

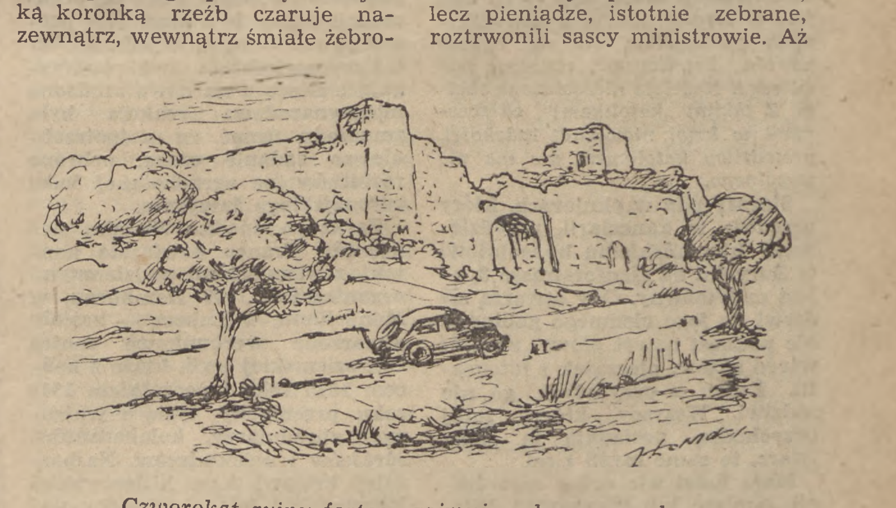
Przegląda się w nich okólna zieleń lub skrawek nieba. Kto tę wyjątkową drogę raz zobaczy, pokocha urok leśno-jeziornego Pomorza!

Przy końcu tej drogi, blisko Czaplinka, jest wąski przesmyk między jeziorami wielkim Drawskim i małym, zwanym Żerdno. Świetny to punkt strategiczny, niezawodna strażnica, czuwająca nad kierunkiem północ-południe. Piastowski Poznań, biskupi Kołobrzeg. Kierunek to zarówno lądowy jak i wodny: Warta — Noteć — Drawa — Prośnica.

Od wieków była tu warownia Nazywała się pierwotnie Drawsko, a potem — też po polsku — Drahim (XIV wiek). Łącząc się w jeden węzeł z czaplinecką, obie zabezpieczały przenikanie naszych wpływów na Pomorze szczecińskie, należały nawet do poznańskiego, zarówno administracyjnie jak i kościelnie.

Już przed bitwą grunwaldzką o przesmyk ten rozegrały się zacięte walki z Zakonem — wygrała strona polska. W pół wieku potem na zdobycie Malborka poszedł stąd jeden zbrojny wojownik, jako żywy podatek wojenny. Gród mocno dzierżyli polscy starostowie.

Dopiero za problematyczną pomoc Fryderyka Wilhelma Brandenburskiego przeciw Karolowi Gustawowi — ocenioną zbyt hojnie na 120.000 talarów — dochody starostwa drahimskiego dostały się w zastaw elektorowi brandenburskiemu. Wkrótce potem — nie otrzymawszy zapłaty — Elektor zagarnął starostwo, uwzględniając jedynie interesy prywatne ówczesnego starosty, Dymitra Wiśniowieckiego. Jeszcze w czasie kuszenia Polaków o wybór elektorowego syna na nasz tron po śmierci Michała — Korybuta — wahały się losy cennego przesmyku. Miał być zwrócony razem z Bytowem, Lęborkiem i Elblągiem. Sejm Grodzieński (r. 1726) uchwalił wykupienie Drahima, lecz pieniądze, istotnie zebrane, roztrwonili sascy ministrowie. Aż do rozbioru starali się odzyskać swoje starostwo Poznańczycy. Odzyskano je dopiero dziś.



Czworokąt ruiny fortecy zajmuje cały przesmyk...

Wokoło zwyczajna nadjeziorna, rozciągnięta wioska. Łagodna fala prawie omywa szosę z prawej strony i zaraz z lewa rośnie stary mur z wiśniowej cegły. Czworokąt ruiny fortecy zajmuje cały przesmyk aż do małego żerdniańskiego jeziora. Nie przeszło by się tędy nie zauważonym. Przy murze krzewi się gęsto zdziczały agrest. Północna brama prowadzi do wewnątrz: podwórzec i zamkowa część. Na gruzie zwaliska rośnie trawa a krzewy splata fantazyjny chmiel.

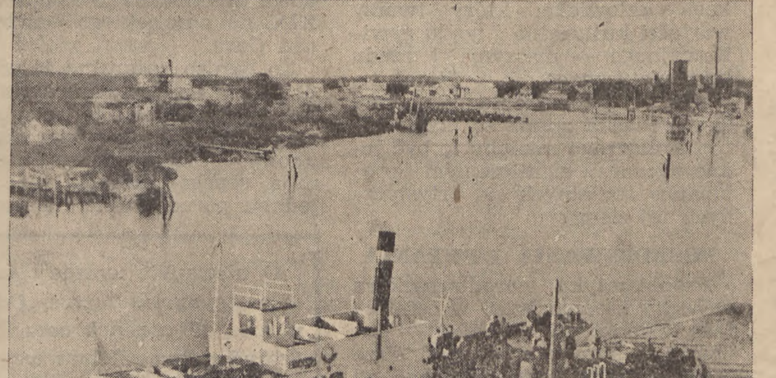
Szukałoby się lochów podziemnych.

Próżno rozglądać się za wieżami strażnic.

Na niemieckiej, dokładnej mapie okolic Połczyna wyraźnie napisane obok Alt-Draheim: Starostenburg.

Więc i oni pamiętali...

Jarosław Rogala



Fot. J. Bułhak

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Szczecin

DZIEŃ

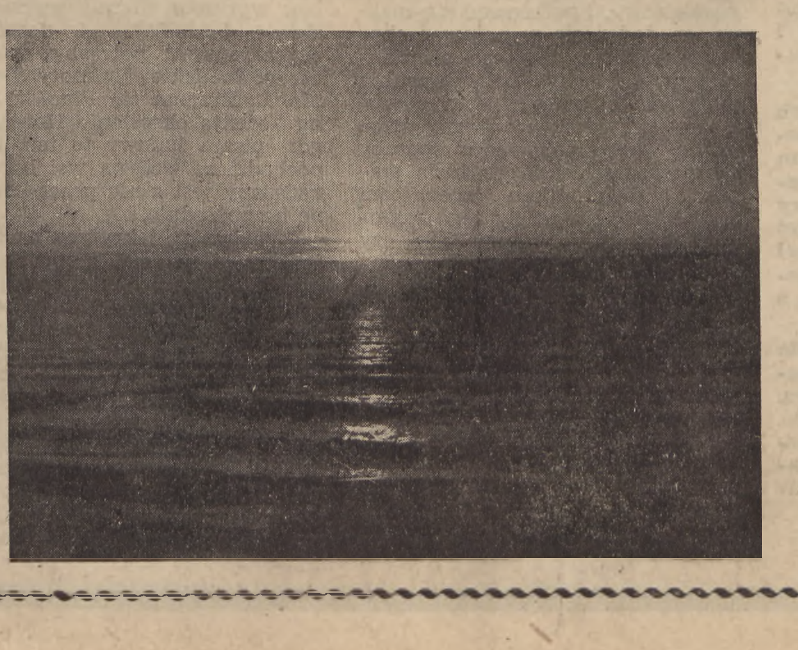
Możesz z Wałów Chrobrego dotknąć nieba wytartego szmatą obłoków
i odkryć na dnie wzruszenia kształt zielonego miasta.
Tu cegłę rdzawo żyjącą czas skazał na wieczny niepokój,
choć ślady dawnej świetności miejscami łopian porasta.

Lecz przerastamy omszałą przeszłość wciąż dotykając szeptem
lip miodem karmiących mury. A kark topoli nie wstrzyma
rąk wzlatujących betonem, lub rozpostartych na wietrze
żelazną konstrukcją mostu i kominami Stołczyna.

NOC

Śniąc — miasto przeżywam. Przedmieścia: Niebuszewo, Pogodno, Golęcin...
Nie tracę z tchu murów ani szczypty wilgoci.
A nad Szczecinem wiatr nocny goni ze złotą gwiazdą u pęcin
i morzem pachnie mu grzywą, a mrok wciąż odtrąca go łokciem.

Z dźwięków układam sen mój. A może sen mnie ułożył?
Dworzec gruchoce za szybą. Latarnie wychodzą z głębi.
Zrywam się. Mknie niewidzialny pociąg po głosie — ochrypłym torze,
noc wioząc na swoim grzbiecie i prawdopodobnie węgiel.



Fot. J. Bułhak

Co robią Niemcy

I Tomasz Mann pragnął wrócić do Goebbelsa – Autorzy i książki w świetle cyfr, które niepokoją swoją żywotnością.



„Humanitaryzm czy germanofilstwo?" — pyta się pewien tygodnik amerykański, widząc fotografię, na której lekarze amerykańscy demonstrują nowy wynaleziony przez siebie typ protez na osobie żołnierza niemieckiego, pozbawionego obu nóg; protezy te mają być dostarczone bezpłatnie wszystkim rannym jeńcom niemieckim na terenie Ameryki.

ZEMSTA jest rozkoszą... Niemców. Od dawna już informuję o krytycznych wypowiedziach Tomasza Manna pod adresem Niemiec i pisarzy niemieckich. Aż oto besztanym Niemcom nadarzyła się chwila zemsty. Manfred Hausmann, pisarz, który przebywał przez cały czas na terenie Niemiec, współpracował z gazetami i wydawnictwami hitlerowskimi, a pomimo to zaliczany jest dziś do czołówki antyfaszystowskich pisarzy niemieckich i wymieniony przez Tomasza Manna na kongresie PEN-klubu w Zurychu jako godny członkostwa tej międzynarodowej organizacji, tenże Manfred Hausmann ogłosił na łamach dziennika „Weser Kurier" artykuł, z którego wynika, że nieskalany zdawałoby się Tomasz Mann ma na sumieniu poważny grzech. Mianowicie ni mniej ni więcej autor „Czarodziejskiej góry" w r. 1934 napisał do hitlerowskiego ministra Fricka list, w którym prosi o powrót do hitlerowskich Niemiec i możliwość pracy literackiej. Sensacja jest więc niezwykłego kalibru! Mann na artykuł Hausmanna odpowiedział pismem do redakcji monachijskiej „Die neue Zeitung", w którym bynajmniej nie zaprzecza możliwości napisania takiego listu, żąda jednak przytoczenia całej jego treści, gdyż „streszczenie Hausmanna jest typu denuncjatorskiego". Stwierdza również przy okazji, że na powrót do Niemiec nie potrzebował żadnego zezwolenia(?), gdyż powrotu tego życzyła sobie z jednej strony monachijska Gestapo, z drugiej zaś z międzynarodowych względów prestiżowych sam Goebbels, czego dowodem było m. in. ciągłe jeszcze firmowanie jego nazwiskiem Akademii Literatury oraz półsłówka „Frankfurter Zeitung" o możliwości zapomnienia o przeszłym, gdyby powrócił.

SENSACJA w międzyczasie ogarnęła szpalty wszystkich pism. Hausmann w odpowiedzi na oświadczenie Manna napisał, że niestety, nie posiada kopii Mannowego listu do Fricka, gdyż w r. 1942 w obawie przed rewizją musiał ją zniszczyć. Niemniej z kopią tą poprzednio zapoznał wielu pisarzy niemieckich, którzy utwierdzili się w ten sposób w konieczności pozostania na terenie Niemiec i nieemigrowania, „skoro i Tomasz Mann zamierza wrócić". W toku dyskusji prasowej, która w ciągu lipca na ten temat toczyła się w Niemczech, padło wiele głosów potwierdzających istnienie takiego listu do Fricka. Najwięcej informacji w tym względzie, informacji kompromitujących Tomasza Manna jako nieugiętego bojownika antyfaszystowskiego, dostarczyło codzienne pismo berlińskie „Der Kurier" z dnia 14 lipca (nr 161).

CZYTAMY tam, że w sprawie powrotu Tomasza Manna odbywały się długie rokowania między nim a niemieckim ministerstwem spraw wewnętrznych, reprezentowanym tu przez podsekretarza stanu, dra Stackarta. Goebbels, który przygarnął, tolerował i otoczył nimbem nowej sławy niedawnego socjalistę Gerharda Hauptmanna, ze względu na propagandę zagraniczną to samo pragnął uczynić z Tomaszem Mannem, drugim laureatem Nobla. W rozmowach oświadczono, że Mann będzie mógł tworzyć bez przeszkód i publikować swoje utwory (nawet swą wielką powieść o Józefie). Uznawali w nim, choć wbrew woli, duchową potęgę. Tomasz Mann zobowiązywał się nawet milczeć w sprawach politycznych. Rokowania urwały się po oświadczeniu Manna, że za warunek uważa uznanie jego pisarskiej rangi przez rząd. Żądanie to wywołało negatywną odpowiedź ze strony hitlerowskiej. I w ten sposób autor „Czarodziejskiej góry" pozostał na emigracji, tracąc już definitywnie obywatelstwo niemieckie i prawo obywatelstwa na wewnętrzno-niemieckim Parnasie. Sensacja jest natury nader pikantnej. Niemcy rozdmuchują ją wyraźnie, bo jako się rzekło, jest to wymarzony przez nich akt zemsty na wiecznym ich karcicielu. Jak sądzę, niemniej sensacyjnie sprawa ta przedstawia się również i dla czytelnika niemieckiego.

MANNOWI nie przeszkadza to bynajmniej w coraz szerszej poczytności wśród Niemców. Zorganizowane przez księgarzy i wydawców niemieckich ankiety wśród czytelników przyniosły Tomaszowi Mannowi zwycięstwo jako najbardziej poczytnemu autorowi niemieckiemu. Za nim dopiero postępują tacy pisarze, jak Herman Hesse, Franz Werfel, Sinclair Lewis, Hemingway, Kästner i Wiechert, Balzac i Polgar. Ankieta księgarzy wymieniła najbardziej poczytne książki niemieckie. Znalazły się tu w następującej kolejności: Ernesta Wiecherta „Dzieci Jeronima", Hermana Hessego „Glasperlenspiel", Eugena Kogona „Państwo SS", Meineckego „Niemiecka katastrofa", Kasimira Edschmida „Dobre prawo", Theodora Plieviera „Stalingrad", dalej dzieła Ottona Flakego i Ernsta Glaesera. Zadziwiające, że nie znalazła się tu najlepsza książka powojenna w Niemczech Anny Seghers „Siódmy krzyż". Z zagranicznych autorów wyróżniono „Rebekę" Dapne du Maurier, powieści Pearl S. Buck, Hemingwaya, Conrada, Steinbecka i Dostojewskiego.

RUCH wydawniczy niemiecki omówiłem krótko już w ostatnim moim przeglądzie. Tam te ogólne uwagi uzupełniam teraz cyframi, które obyśmy sobie my, Polacy, dokładnie uświadomili. Do dnia dzisiejszego na terenie Berlina lincencję uzyskało 198 wydawnictw, z tego 59 w sektorze brytyjskim, 71 w rosyjskim, 39 w amerykańskim i 29 we francuskim. Poza Berlinem we wszystkich czterech strefach czynnych jest ponad 350 licencjowanych wydawnictw. Ich działalność wydawnicza na przestrzeni od września 1945 do dnia dzisiejszego określona została sumą 5.700 tytułów książkowych (900 tytułów przypada na Berlin). Nakłady przeciętne wynoszą dla stref: angielskiej (około 830 tytułów) i amerykańskiej (około 1.500 tytułów) od 5 do 6 tysięcy egzemplarzy, w strefie francuskiej (około 470 tytułów) od 3 do 4 tysięcy egzemplarzy oraz w strefie radzieckiej (około 2900 tytułów) od 5 do 8 tysięcy egzemplarzy. Księgarnie, których poza strefą sowiecką, dla jakiej nie posiadam odpowiedniej cyfry, jest 2500, otrzymują od wydawnictw najwyżej po 2 lub 3 egzemplarze nowości. Poniższa tabelka zorientuje nas w tematycznym układzie wydanych książek:

	procent
literatura piękna	27
religia, historia, filozofia	20
prawo, zagadnienia gospodarcze i socjalne	10
młodzieżowe	8
szkolne i pedagogika	7
słowniki i historia literatury	7
medycyna i nauki ścisłe	4
kalendarze i roczniki	4
handel i przemysł	1,3
sprawy kobiece i gospodarstwo domowe	1,3
sztuki piękne, muzyka, teatr	1,3
sport	0,7
różne	8,4

Trzy piąte wszystkich książek ukazywały się w postaci oprawnej, ostrzega się jednak, że w przyszłości trzeba będzie się przyzwyczaić do egzemplarzy broszurowanych ze względu na brak należytej ilości materiału introligatorskiego. Ogólne narzekania zwracają się przeciwko nieuregulowanym stosunkom z zagranicą, przez co niejedna poważna pozycja zagraniczna nie może ukazać się na rynku niemieckim.

WISZ.

Odnaleziony

Tutaj już inne niebo. Księżyc sztorcem wbity
na czub komina pruje obłoków kłęby.
Ludzie płyną przez wiatr. Kołyszą nad głowami drzewa,
zielone dzwony wiosny, które
pachną, jak kraj z dzieciństwa w wodzie odbity.
Pod czarną pianę dymów w ziemię sieją smocze zęby,
kobiety o wargach czerwonych jak krew.
Tu ziemia śpiewa
i srebrospadem — gwiazdy spływają w zielone góry
i dzwonią dzwony drzew.

Tu z piachu rośnie szkło i żyto jest szklane
i w drzewach metal płynie i dlatego dzwonią,
a ludzie noszą w żyłach rozdzwoniony metal.
Zwierzęta są jak maszyny, naoliwione potem.
Dłonie, jak kleszcze stalowe, mogą ująć nawet kwiat konwalii
i na sercu położyć — nie zwiędnie:
będzie wonny, jak rosą skropiony poranek.
Ale żelazo pęka pod tą dłonią
i gleba się otwiera wgłąb, jak kadź
i w niebo tryska ogniem i dymem: kometa.

Nad miastem łuną się pali
i przez noc werblem dudni, jak na bębnie,
lub szumi, szumi ogrodem i złotem,
jak w dzień lipcowy pod lipami barć.

I rzeka tutaj pluszcze inaczej, inaczej,
a chleb ma inny kolor, róża inną woń,
znajomą, ale dawną, jak stare obrazy.
Woda przez palce cieknie, jak gęsta oliwa.
W oczach rosną pociągi: mastodonty hyże.
I deszcz inaczej płacze

Porachunki hiszpańskie

W jednym z ostatnich numerów wychodzącej w Pradze lewicowej „Kulturni Politiky" jej stały współpracownik Ludwik Aszkenazy zamieścił poniższy artykuł. Drukujemy go ze względu na wagę poruszonego tu zagadnienia również i dla naszych Ziem Odzyskanych. Nie wolno nam bowiem zapominać, że w Hiszpanii Franca prowadzi się gwałtowną kampanię przeciwko granicy na Odrze i Nysie łużyckiej. Ściekająca tu europejska reakcja, będąca wyraźnym narzędziem Niemców, wrogo jest nastawiona do obecnego układu politycznego na ziemiach nadodrzańskich. Ta wroga nam kampania tym niebezpieczniejsza jest, że odbywa się również w imieniu „katolicyzmu" a jeśli „katolikami" tymi okazują się często znani niemieccy dowódcy SS, wyraźnie już mamy prawo i obowiązek p r o t e s t u przeciw mieszaniu Kościoła Świętego w ostatnie porachunki faszystowskie. Nie chcielibyśmy także, aby — co dziś jest w modzie, któryś z łatwowiernych publicystów dał się nabrać na ten „katolicyzm", rzucając pod adresem Kościoła niezasłużone obelgi. Z takimi „katolikami", chrzczonymi w krwi niewinnej ludzkości, prawdziwy katolicyzm nie ma nic wspólnego.

Starszy pan w okularach, który urzęduje w kancelarii, przydzielonej hiszpańskiemu konsulatowi w Zurychu na Genferstrasse 3, — jest małomówny. Gdy otworzą się drzwi do jego ciemnego gabinetu, nie podnosi nawet głowy, ukrytej wśród aktów, pieczątek i fotografii. Żaden z przybyłych go nie zadziwi. Wszyscy, którzy tutaj przychodzą, posiadają tą samą twarz, te same myśli i cel.

Mało ludzi wie coś o organizacji „Śmierć lub Hiszpania". Wiedzą o niej wychudli gestapowcy z ciemnych hamburskich i monachijskich uliczek, byli ukraińscy policjanci, z rąk których nigdy nie będzie można zmyć krwi żydowskich dzieci, wiedzą o niej nadęci andersowscy panowie i tłuści ustaszowcy. Powtarzają sobie to hasło jak jakąś formułę zaklęcia, która im otworzy drzwi Sezamu: Śmierć albo Hiszpania! Brudne uliczki i gospody pełne są radosnego szeptu: za każdą cenę Hiszpania! Tam jest rendez vous desperatów. Przylądek Dobrej Nadziei. Patrz... w dali błyszczy eldorado zbrodniarzy. Śmierć albo Hiszpania! Do Hiszpanii za każdą cenę.

Słyszeliście o przygodzie Hansa? Podszedł do niego nieznany człowiek i wsunął mu w rękę kartkę przymocowaną do banknotu. „Głowy w górę zbrodniarze, dalej do czynu — wygnańcy. Hiszpania czeka!" Starszy pan w okularach, który urzęduje na Genferstrasse 3, nie podnosi nawet głowy, kiedy skrzypią drzwi jego gabinetu. Wszyscy, którzy tutaj przychodzą, mają jednakowe twarze. Są to faszyści.

* * *

Organizacja „Śmierć albo Hiszpania" nie jest wymysłem chorego mózgu. Kancelaria na Genferstrasse istnieje, drzwi jej skrzypią bez ustanku, pan w okularach nie podnosi głowy, pogrążonej w aktach. Nie jest to fantastyczny koszmar nocny ani fragment z amerykańskiego filmu detektywistycznego. Jest to prawda. Jak bardzo tragiczna i niepojęta — niech oceni sam czytelnik.

* * *

Jeśli idzie o organizację „Śmierć lub Hiszpania", jej ojcem duchowym był Heinrich Himmler. Już w czasie pierwszego spotkania führera z caudilem na Iruńskim dworcu, projekt jej został zasadniczo uchwalony i przyjęty. Że początkowo formy i cel tej organizacji miały być inne, jest prawie pewne — historia jednak i tutaj wypowiedziała swe rozstrzygające słowo a na nowo zrodzona międzynarodowa reakcja była zmuszona uznać za najpotrzebniejsze zadanie czasu, ochronę rozbitków ze zgruchotanej łodzi europejskiego faszyzmu.

Zaraz po upadku Niemiec sieć agentów Franca nawiązała kontakt z niemieckimi podziemnymi organizacjami. W Hamburgu, w Monachium, w Lubece — zostały utworzone werbunkowe centra cudzoziemskiej legii, które z końcem 1945 roku i początkiem 1946 roku przemyciły tysiące wojennych zbrodniarzy, kolaborantów, zdrajców i uciekinierów. Najbardziej krwawi kaci hitlerowskiej inkwizycji i ich zdradzieccy pachołcy zniknęli bez śladu w kancelariach tych „centr werbunkowych". Niejeden Europejczyk lustrując tzw. „narodowościowe oddziały marokańskiej legii", mógłby się spotkać oko w oko z mordercami swych rodziców czy dzieci. W saharskich twierdzach śpiewana jest Horst Wessellied przy akompaniamencie hiszpańskiej gitary a oficerowie SS uczą pruskiego marszu berberyjskich rekrutów, nie wspominając już o Rassenschande.

Nigdy jeszcze droga do „zagranicznego oporu" nie była tak prosta, tak łatwa, jak łatwą jest droga organizacji „Śmierć albo Hiszpania". Obozy D. P., Monachium, Zurych albo Italia, Hendaye (nikt nie wie co robi hiszpański konsulat w Hendayi, ponieważ dyplomatyczne stosunki pomiędzy Francją a Hiszpanią zostały już dawno zerwane).

Nieprzerwany potok europejskiego brudu płynie z Niemiec i Austrii poza Pireneje. Oprócz adeptów hiszpańskiego boga wojny, przechodzą do Hiszpanii w nieustannych konwojach „katoliccy studenci" — Polacy, Ukraińcy, Chorwaci, Węgrzy itd.

Tytuł dziennika „Informationes": „Hiszpania wita swych chorwackich braci. Męczennicy wiary nareszcie znaleźli schronienie".

„ABC": „Młodym Polakom, którzy uciekli do Hiszpanii musimy dopomóc w ich przygotowaniach do świętej wojny. Tym dzieciom i młodzieży wszczepimy chrześcijańskiego ducha, patriotyczne uczucie i pragnienie wolności dla ich wielkiego narodu, zniewolonego bolszewizmem". A znowu „ABC": „Wysoka szkoła Santiago Apostol przyjęła włoskich profesorów i studentów, którzy byli prześladowani z powodu swych ideałów".

O Niemcach prasa hiszpańska dyskretnie milczy. Milczenie jak wiadomo jest złotem. W tym wypadku jest to złoto niemieckie. Nieprzerwany potok europejskiego brudu... Z końcem lutego, przybył do Barcelony z Europy środkowej poprzez Italię, książę Zulukidze z patriarchalnej rodziny Bagration, która przez stulecia sprawowała rządy w Gruzji. Powiedział on: „Całuję glinę tej ziemi. Tutaj rodzi się wolność Gruzji". Łącznie z nim przyjechał jego syn Themuraz, były oficer SS, który już dwukrotnie uciekał z obozu jeńców. Ślady sztabu smutnie znanego hetmana Skoropadskiego, ukraińskiego degenerata i quislinga, także zagubiły się na bezdrożach pirenejskich ścieżek. Nie można również nie wspomnieć tutaj o radiowym agitatorze z ery Tuki i ks. Tiso. Kleweciarze z tzw. „Akczniho vyboru" znaleźli swą przystań i schronienie w „Radio Nacional", skąd szkalują pracujący lud Czechosłowacji, jego prezydenta, rząd i wspólnotę czeskosłowackiego braterstwa.

Straszny taniec faszystowskich widm trwa. Przygląda się mu obojętnie Europa i cały świat. Pan na Genferstrasse urzęduje, pirenejscy przewodnicy liczą dolary (pesetów nie chce nikt brać nawet za darmo), „katoliccy" studenci i legioniści pożerają chleb hiszpańskiego robotnika i śnią o pomście.

Były takie dni, kiedy hasło Śmierć lub Hiszpania, było zawołaniem hiszpańskiego ludu. Franco odpowiedział: Śmierć. Dzisiaj zaś na okrzyki hitlerowskich łotrów odpowiada: Hiszpania! Chodźcie, Hiszpania jest wasza!

Ludwik Aszkenazy

Z czeskiego spolszczył **Av.**

JULIAN LEWAŃSKI

Z trosk o ramy i definicje

„Jakto, czy mamy także poetów górnośląskich?" pyta nieco naiwnie Emanuel Grimm w pierwszym zdaniu artykułu „O poetach górnośląskich" w Zaraniu Śląskim z roku 1910. Jest w tym pytaniu duma i ambicja, troskliwość o dobre imię, pochwałę ziemi i ludzi, radosne odkrycie. Kwestię rozwiązał Grimm łatwo — my dzisiaj powtarzamy to samo pytanie z pewną troską i z większą frasobliwością układać chcemy odpowiedź. Sprawa wyszła bowiem już z kręgu cieszyńskiego, z Bytomia, Mikołowa, Opola, skomplikowała się nieco nie przez rozrost zjawiska, ale przez pomnożenie narzędzi badawczych, jakimi dzisiaj musimy operować. Powiedziałbym nawet, że jest z tego powodu zamilczana. Jako trudna, nie jako błaha.

Poezja, literatura piękna na Śląsku bywała i bywa opisywana — nigdy przecież dotąd nie była opisywana jako zjawisko literackie — zwykle jak społeczne, lub narodowościowe. Sprawy śląskie nie były, ani będą małe. Byłyby zaściankowe — i sielskie zarazem, gdyby nie Odra, stal i węgiel. Humanistom nie wolno jednak przeoczyć w fabrykach człowieka, który tworzy wartości kulturalne i rzędu cywilizacyjnego — maszyny, i rzędu humanistycznego — literaturę, rzeźbę, obrazy. Problemy przemysłowe Śląska znane są całej Europie, dlaczego miałoby to być jednoznaczne z zamilczeniem problemów socjalnych i artystycznych tej ziemi?

POSZUKIWANIA I PYTANIA

Problematyka narodowościowa wchodzi właśnie tutaj w ostatnią fazę (a może tylko dalszą) — porządków, korekt, wyrównań. Przebiegła wielkim łukiem drogę od oznajmień Bantkiego z katedry i drukarń wrocławskich, poprzez kolumbowy zaiste czyn Lompy, który odkrył prawo, że językiem drukowanym na Śląsku ma być polski język literacki — nie niemiecki, nie gwara, nie czeski. Po przez stopniowe uświadamianie sobie odrębności językowej, obyczajowej, polityczno - partyjnej, państwowej do czynu zbrojnego. Dlatego czas już na opis zjawisk socjalnych i kulturalnych na Śląsku w aspektach dla nich właściwych — dlatego czas postawić pewne zagadnienia życia kulturalnego w kategoriach historyczno-literackich.

Pytaniem zasadniczym jest poszukiwanie drogi od pojęcia literatury Śląska do pojęcia literatury śląskiej.

Zakładamy pojęcie pierwsze jako chwyt badawczy. Wykreślamy nim z polskiej, a więc w języku polskim, lub gwarach polskich pisanej literatury, wycinek związany ze Śląskiem cechami, które muszą być sprecyzowane. Ten wycinek, a więc praktycznie biorąc przede wszystkim pewien zbiór dzieł literackich, następnie zespół faktów życia literackiego — poddamy badaniu, które może dać w rezultacie (1) obraz struktury literackiej piśmiennictwa śląskiego, (2) obraz historii tego piśmiennictwa, (3) zespół cech specyficznych, literackich mianowicie, które nazwać będzie można śląskimi. Spodziewać się można, że dadzą się wynotować charakterystyczne dla tego piśmiennictwa sposoby organizowania materiału słownego, a więc wyliczmy przykładowo: formy stroficzne, typy porównań, sposoby dramatyzowania, które będą stanowić differentiam specificam dla pięknej literatury tego regionu. Dziś nie mamy pewności, czy literatura śląska różni się czymkolwiek od kaszubskiej, podhalańskiej czy choćby ogólnopolskiej sztuki słowa.

Inne pytania wprowadzają na teren badany przykre w użyciu terminy i pojęcia. Są nimi: dzielnica i seperatyzm, ludowość, prowincja, region. Wszystkie są bezpańskie i dlatego niesforne: nie można dowiedzieć się o nich wiele ani od socjologów, ani od historyków kultury. Trudno je włączyć w kategorie historyczno-literackie, bo mają szersze zakresy. Jednocześnie zaś pojęcia te mają na Śląsku swój walor uczuciowy i moralny, są żywe dzisiaj jeszcze jako oceny, kwalifikacje i dyskwalifikacje.

LUDOWOŚĆ

Nie mam zamiaru włączać w rozważania i tak dość płynne i w dużej mierze hipotetyczne, zagmatwanej i komplikowanej coraz bardziej sprawy pisarstwa ludowego. Sprawy, którą ujęli w ręce publicyści, przysłonili i splątali problematyką klasową, organizacyjną nawet, sprowadzili do norm, wymagań ideologii, haseł.

Jeśli wprowadziłem taki nagłówek, to z racji pewnych tradycji terminologicznych. Określenie „lud", „ludek śląski" pojawia się tak często w przedmowach, artykułach, wierszach, że należy mu pozostawić jeszcze prawo obywatelstwa na tym terenie. Kogoż tak mianują pisarze śląscy — jedynego czytelnika, który rzeczywiście był masą klasowo niezróżnicowaną, dość jednolitą. Utrzymajmy więc ten termin jako przeciwstawny do określenia: ogólnopolska literatura elitarna. Ta bowiem nie trafiała w ciągu wieku XIX do przeciętnego czytelnika nad Odrę.

To bardzo naturalne, że właśnie dziś toczy się tak żywe dyskusje o sens i charakter literatury ludowej. Mają one charakter pozanaukowy — to naturalnie, a eliminują aspekt literacki — co jest jednak paradoksalne. Entuzjaści i krytycy spierają się znowu o wartość twórczości ludowej, o to czym ma być, lub jaka będzie. Entuzjaści zwęzili zagadnienie twórczości ludowej do problematyki literatury wiejskiej, chociaż z niejaką trudnością ustalamy, o jaką to twórczość chodzi. Publicyści zgrupowani w kręgu tygodnika „Wieś" twierdzą, że literatura ludowa, to ogół wytworów, będących wyrazem chłopskiej osobowości, a zwłaszcza jej strony uczuciowo - wyobrażeniowej (M. Grad — Wieś nr 7-8, 14-15). Według Stępniaka (Wieś 2, 9) pisarstwo ludowe, społecznie sensowne i porządne, mocno osadzone na wsi — wypłynie z prób użytkowych zakomunikowania co się robi, wymiany projektów i krytyki, wyrażenia radości, upiększenia słowem rzeczy dokonanych. Jan Wiktor żąda, aby nowa poezja związała się z olbrzymimi dziedzinami odradzającej się wsi (Wieś nr 1, 29). Prof. Pigoń, który stworzył nawet pewien aparat badawczy przy swoim seminarium w zamiarze poszerzania i pomnożenia pracy Konińskiego, również stawia przede wszystkim normy: literatura ludowa ma być wyrazem duchowości ludu wiejskiego, organem jego świadomości stanowej... ma być wyrazem stanu, wyrażać w słowie kształtnym i dosadnym obyczajowość, potrzeby społeczne, gromadzkie tęsknoty i dążenia. Podtrzyma też Pigoń z pewną korektą określenie Konińskiego: pisarz ludowy to ten, który pochodzi ze wsi, na wsi bytuje i związany jest z nią pracą codzienną bezpośrednio.

Przeciwnicy i krytycy narzekają oczywiście na małą wartość literacką twórczości ludowej, na brak oryginalności, na prorocze uroszczenia, że już niedługo literatura wiejska będzie jedyną w Polsce, wobec szybkiego (przewidywanego!) końca literatury elitarnej. Cała ta dyskusja w niczym nie ułatwia nam klasyfikacji śląskiego dorobku literackiego. Wiemy przecież dobrze, że dorobek poetycki tej ziemi nie ma waloru ogólnopolskiego, nie jest też wytworem wsi. Nie będzie dla nas również użyteczne określenie Bystronia, który chciałby widzieć tylko w nieutrwalonych pismem tworach poezję ludową — zająć się bowiem chcemy właśnie poezją drukowaną.

Stwierdźmy więc przede wszystkim: definicja kultury ludowej Bystronia jest wprawdzie bardzo dokładna i wygodna, ale już na przestrzeni wieku XIX używać się nie da. Pozostawia bowiem jako bezpańską wielką dziedzinę twórczości wsi, proletariatu miejskiego, drobnomieszczaństwa, uchodźtwa, która to twórczość jest poza-elitarna, nie weszła do historii literatury, jak się to dotąd mówiło. A dzisiaj działacze wiejscy zacieśniają znowu zakres słowa „ludowy" ściśle do kręgu tych, co nucą z dłońmi ziemią brązowymi.

ŚLĄSKA LITERATURA LUDOWA

Trudno jest włączać się w całą tę wielką dyskusję o typie polemicznym i przesuwać znaczenie terminu, mającego w publicystyce walor już ustalony. Niemniej jednak proponujemy na terenie śląskim, dla spraw historii literatury utrzymać nieco inne znaczenie słowa „ludowy", dyktowane charakterem zjawiska.

Dzieło literackie — dla badacza literatury — jest dziełem kultury, w dalszej konsekwencji tworem socjalnym. Proces twórczy polega przede wszystkim na organizowaniu materiału, czerpanego z rzeczywistości społecznej. Wtedy dopiero staje się zbiór zdań faktem literackim, gdy staje się elementem rzeczywistości społecznej, gdy staje się — jak chce tego Ignacy Fik — czynnikiem organizacyjnym. Dzieło literackie jest strukturą wcale złożoną, ale z elementów, takich jak brzmienia słowne, znaczenia, twierdzenia, opisy, które to wszystkie elementy są treściami kulturalnymi. Istnieją tylko jako treści intersubiektywne. Można więc — mówiąc nieściśle — uważać literaturę za jakieś narzędzie porozumienia, porozumienia możliwego w środowisku, gdzie użyte słowa, obrazy, formy wierszowe i stroficzne będą istotnie zrozumiane, przyjęte za swoje, włączone w życie społeczeństwa jako własne. Słusznie zastanawiał się Julian Przyboś, czy Parnas ma jeden wierzchołek, czy może więcej. Twórca ludowy, prymitywny nigdy nie bywa w wyrazie konwencjonalny — jest tak samo oryginalny jak Słowacki, nawet wtedy, gdy posługuje się całymi obrazami i sytuacjami opracowanymi przez innych pisarzy. Nie odmówimy walorów oryginalności na przykład Bończykowi, two rzącemu pod urokiem „Pana Tadeusza", po prostu dlatego, że jego opowieści posiadają strukturę całkowicie odmienną od epopei litewskiej, oraz dlatego, że jawią się w zupełnie różnym klimacie życia literackiego.

Parnasów jest tyle ile klas czy środowisk kulturalnych. Ile odróżnimy języków, ile grup porozumienia pewnymi konwencjami literackimi i artystycznymi. Grupy te wyznaczone są zarówno czynnikami socjalnymi jak i geograficznymi. Dlatego to określenie ich nie jest wcale takie łatwe. Istnieje wprawdzie jeden wspólny mianownik to jest język polski, ale i to pojęcie wymagałoby pewnej precyzji. Nie wkraczając na tereny zbyt odległe konstatujemy tylko, że posiadamy na Śląsku w wieku XIX literaturę, która posiada własne formy życia literackiego, własnych twórców, nakładców, drukarzy, odbiorców, krytyków, podbudowę w pieśni i bajce wcale bogatej, swój Parnas, swoją historię wreszcie. Historia zacznie się z pierwszym drukiem Lompy w polskim języku literackim, a kończyć się powinna z chwilą, gdy twórczość literacka na Śląsku przestała różnić się czymkolwiek od pisarstwa w całej Polsce, oraz w momencie, gdy książka będzie bez jakichkolwiek rozróżnień krążyła między krajem a Śląskiem Gdy ten będzie wybierał, czytał, drukował swoich pisarzy przed pisarzami innych dzielnic.

Pozostawmy więc dla interesującego nas wycinka literatury stworzonej w języku polskim na Śląsku w wieku XIX termin: literatura ludowa. Aby zaś nie wnosić zamieszania terminologicznego, dodajemy wyjaśnienie, że na innych prawidłach budowaliśmy ten termin. Oznacza on tutaj tyle, co poza-elitarna, oraz lokalna, a więc właściwa dla określonej granicami politycznymi dzielnicy.

WEJŚCIE NA PARNAS

Wprowadzimy przecież pewne cechy, które zbliżą nam nieco obraz życia literackiego tych prowincjonalnych środowisk kulturalnych. Charakteryzuje je szybkość przekazywania treści kulturalnych. Nie ma czasu na tworzenie muzealnych arcydzieł, książka nie zalega półek księgarń, a raczej kramów. Krańcowym przykładem były wiersze Juliusza Ligonia, wiersze Damrotowe miały trzy wydania, aby już nie wspominać popularności sztuk Kołodzieja. Ludowy rynek odbiorczy jest bardzo czuły i nie da się zasugerować przez krytykę literacką, wyjątkowo również można okłamać go reklamą. Życie literatury ludowej jest spontaniczne, niezracjonalizowane.

Najchętniej operuje konwencjonalnymi schematami literackimi — odświeżając je w przedziwny sposób. Pisarz schematyzuje świat, czasami bardzo odległy, sprowadzając go do rysunku bardzo prostego: ludzie są podli lub wspaniałomyślni, żyją w salonach albo w rynsztokach, przeżywają w opowieści koniecznie momenty ważne (ślub, awans, więzienie). Sytuacje dramatyczne są łatwe do odczytania, nie zawierają rozumowań dłuższych niż stwierdzenie przyczyny lub skutku.

Literatura ludowa, a zwłaszcza na Śląsku, skazana jest na bytowanie w cieniu wielkiej literatury ogólnopolskiej. Ta stanowi ogromny rezerwuar tekstów, układów wierszowych — z którego naturalnie żywią się te uboższe, a przede wszystkim nie posiadające tradycji, piśmiennictwa prowincjonalne.

Wprawdzie piśmiennictwo śląskie ma i swoją historię, swoją krytykę, recenzentów, ale nie posiadała krytycznego środowiska literackiego, które by tworzyło problematykę, dyktowało modę, cenzurowało wartości estetyczne bieżącej literatury. Dostęp na ów prowincjonalny Parnas dostępny był każdemu, kto pisał obyczajnie i czystą polszczyzną.

Sprowadzić więc trzeba określenia literatury ludowej od pojęć metryki i meldunku (urodzony na wsi, zamieszkały, trudniący się...) do pojęć bliższych literackiemu życiu; są nimi:

- mały dystans między dziełem literackim a jego percepcją, między dziełem a sumą treści kulturalnych żywych w danym środowisku,
- zapożyczenia gotowych schematów, organizowania materiału słownego z innych literatur,
- brak kontroli i autorytetów krytycznych.

Zakładać też można, że dadzą się ustalić pewne cechy stylistyczne literatur ludowych w ogóle, a może najprędzej śląskiej literatury ludowej, ponieważ ta żyła w bardzo specjalnych warunkach pogranicznych i ma za tło ów czcigodny proces samoodrodzenia narodowego.

Julian Lewański

O niezwykle wystawnym życiu współczesnych pisarzy polskich w następnym numerze „Odry" informował będzie Amelin Vonder w art. „W czeskich oczach". Nadto numer przyniesie prace Jana Sztaudyngera „Malarz wewnętrznego blasku", Pawła Kubisza „Legendę wydziedziczonych", bogaty materiał ilustracyjny oraz sprawozdawczy.

horyzont

i inaczej rży koń:
czarny, tłusty parowóz.
Inaczej biegną wielbłądy z żelaza — wagony
i inaczej w ogrodzie szumi wierzba siwa:
palma śnieżnej północy, wędrowiec z nad rowu.

Dalej ziemia skurczona, spękana jak żużel
dźwiga garby kretowisk: kopalni i hut:
wrące kratery ognia. Ciemne głębie skamieniałych lasów.
Górnicy dynamitem trzebią gęste puszcze,
rąbiąc chleb w smolnych głazach przez huczące burze,
Tylko im lampki świecą w tej burzy, jak róże
tylko im wody w głębiach tych puszcz cicho pluszczą
i zmarli towarzysze dźwigają się z wód:
towarzysze ze smoczych zębów wszystkich czasów,
posianych przez kobiety o wargach, jak krew.
Rośli, jak trawa — ginęli, jak trawa,
serca kładąc w kopalniach, skoro ziemia krwawa
kołysała na alarm dzwonami drzew.

W takim kraju nie buchną dymy krematoriów
i czaszek w ślinie szyderstw nie zmiażdży żelazo
i psami nikt nie będzie dobrych ludzi szczuł.
A jeśli krew popłynie z rozdartych arterii —
to jako sztandar chluby, nie hańby i łez.
Do ziemi — już w zamkniętych zaniosą go oczach
z błękitem, zaprószonym szarych domów sadzą:
liliowy, jak wrzosy, kwitnący, jak bez.
On dłonie poryl trudem, oczy z ziemią skuł,
z tej ziemi chce wygrzebać kołowrót gwiazd i pląs.
Tłucze się w moim sercu kłąb natchnionej materii:
horyzont pod księżycem — Śląsk.

TEOFIL KOWALCZYK

ZDZISŁAW OBRZUD

W strefie amerykańskiej

II)

Szkolnictwo*) wszystkich typów wykazywało w ciągu września i października r. 1946 stałą tendencję krzepnięcia i wzrostu. Remontowano stare budynki. Różne urzędy oraz instytucje, które dotychczas zajmowały budynki szkolne, teraz oddawały je dawnym posiadaczom. Także braki etatów nauczycielskich przeważnie się zmniejszyły, choć nadal stan w tej dziedzinie jest krytyczny. Tu i ówdzie, mimo przybycia nowych nauczycieli i powrotu przedwojennych wychowawców do służby, liczba brakujących etatów nauczycielskich nawet się zwiększyła, wobec tego, że nastąpił znaczny wzrost liczby uczniów w szkole. Otoczono opieką szkolnictwo dla dorosłych i zorganizowano towarzystwo kształcenia dorosłych w każdym z trzech krajów („Länder") strefy. **We wszystkich powiatach („Kreise") założono komitety młodzieży.** Zapoczątkowano wymianę studentów i profesorów między Ameryką a Niemcami i założono osiem ośrodków układania programów nauki i redagowania podręczników. Specjalna misja amerykańska dla spraw wychowania i kształcenia (U. S. Education Mission to Germany) ukończyła swój kilkotygodniowy przegląd dnia 20 września 1946 i łącznie z reprezentantami Zarządu Wojskowego i przedstawicielami niemieckiego szkolnictwa od szkół akademickich do szkół elementarnych, wraz z delegatami ministerstw oświaty wszystkich trzech krajów, ułożyła zasadnicze wytyczne organizacji kształcenia i wychowania w Niemczech.

*) Por. pierwszą część w nrze 25—26 „Odry".

Te wytyczne postanawiają:

a) Należy opracować jednolity program nauki dla całej młodzieży szkół niższych i średnich w strefie amerykańskiej.

b) Wszystkie dzieci przez 6 lat uczą się razem w szkole powszechnej (elementary school), bez względu na płeć, przynależność do klasy społecznej, rasę, zamiar dalszego kształcenia zawodowego.

c) Cały program szkoły musi wyraźnie uwzględnić doświadczenia i zdobycze demokracji.

d) W programie szkół zawodowych musi być zapewniony czas potrzebny do nauki przedmiotów społecznych i kulturalnych (humanistycznych).

e) Niemieckie ministerstwo oświaty mają pomóc przez opracowanie podręczników i planów nauki.

f) Należy się starać o wzbogacenie księgozbiorów i zaopatrzenie szkół w pomoce naukowe.

g) Należy przeprowadzić energicznie program szkolenia przywódców młodzieży, którzy będą doradcami grup młodzieży, a komitety młodzieżowe na szczeblach: powiatowym i krajowym powinny rozszerzać swą działalność, otwierając nowe koła i szkoląc w przywództwie (leadership).

h) Pewna liczba młodych niemieckich nauczycieli i studentów ma być wysłana do Ameryki na studia i dla wychowania w duchu demokratycznym.

My, Polacy, dowiadujemy się o „energicznym" (rigorous) ćwiczeniu przywódców młodzieży bez zachwytu. Zaprawianie do „wodzostwa (leadership), to przecież idea i praktyka hitlerowskich Niemiec, a nasi sąsiedzi zachodni łatwo zmienią przywódców „demokratycznych" na przywódców z serca narodowosocjalistycznych. Zdaje się, że tutaj amerykańscy okupanci poszli na lep podszeptów okupowanych.

Przedstawiciele **Unesco (United Nations Educational, Scientific and Cultural Organisation) zapoznali** się z programem wychowania Zarządu Wojskowego i skonfiskowaną literaturą nazistowską i obiecali przysłać swoje testy dotyczące reedukacji Niemców, sporządzenia podręczników i opracowania programów nauczania historii i nauk społecznych, oraz wydać polecenia odnośnie do literatury wyrażającej „światowy punkt widzenia". Military Government U. S. zapewniło części studentów, których władze uniwersyteckie w sowieckim sektorze Berlina nie dopuściły do studiów na czwartym semestrze, przyjęcie na wszechnicach w strefie amerykańskiej. W tym pociągnięciu widzimy także przejaw tarć między aliantami, z których na pewno cieszyli się Niemcy.

Specjalny nacisk położono we wszystkich trzech krajach strefy na rozwój szkół zawodowych. Od 1 sierpnia 1946 do 31 października zwiększono znacznie liczbę szkół zawodowych, począwszy od szkół rolniczych i mechanicznych, skończywszy na szkołach przemysłu artystycznego. Także poziom tych szkół oraz ich wyposażenie w środki techniczne znacznie się poprawiły. W Stuttgarcie zorganizowano **instytut kształcenia nauczycieli,** jako centralny i nadrzędny ośrodek szkolenia nauczycieli dla całej strefy. Otwarto cały szereg szkół i kursów popołudniowych dla dorosłych oraz uniwersytetów ludowych. Z końcem października r. 1946 istniało w strefie U. S. **51 uniwersytetów ludowych!** W Bremie urządzono **czteromiesięczne kursy rehabilitacyjne dla młodych nauczycieli, których usunięto z pracy w szkolnictwie za ich dawne związki z organizacjami hitlerowskimi.**

W myśl przyjętego programu, we wrześniu i październiku 1946 energicznie wykonywano program młodzieżowy. Gdy 1 sierpnia 1946 roku było zatwierdzonych przez władze U. S. 2.900 grup o 447.734 członkach, to 1 listopada tego samego roku liczba wzrosła do 6.621 grup młodzieży 718.192 członkach. W tym samym dwumiesięcznym okresie położono nacisk na zaprawę przywódców. W Hesji we wszystkich powiatach wszczęto energiczne starania o zapewnienie miejscowym organizacjom młodzieży wystarczającego zastępu **zawodowych „opiekunów młodzieży" („Jugendpfleger").** Oficerowie i podoficerowie armii Stanów zostali odkomenderowani do pracy z młodzieżą niemiecką. Zarząd Wojskowy popierał wysiłki wszystkich kościołów strefy, zmierzające do odrodzenia etyki i religijności wśród mas niemieckich. Przedstawiciele duchowieństwa trzech najsilniejszych wyznań: protestanckiego, katolickiego oraz mojżeszowego zebrali się wspólnie, by radzić nad odrodzeniem życia duchowego w kraju. Strefę odwiedzili przedstawiciele metodystów amerykańskich w celu zorganizowania zjazdu wszystkich metodystów Niemiec. We wszystkich kościołach katolickich odczytano list pasterski, który podkreślał ważność rodziny i trwałość małżeństwa dla wszelkiego życia społecznego. Przedstawiciel O. M. G. U. S. wziął udział w uroczystości uczczenia 400-nej rocznicy śmierci Lutra w Eisleben, w strefie sowieckiej.

We wrześniu poczyniono przygotowania do spisu ludności, którego termin ustalono na dzień 30 października r. 1946. W tym samym miesiącu ukończono główne prace celem rychłego otwarcia **sądów administracyjnych** w strefie amerykańskiej na podstawie ustawy konstytucyjnej wspólnej rady naczelnej trzech krajów (Länderrat). Sprawozdawca amerykański daje wyraz swemu zadowoleniu ze stanu rzeczy, w którym obywatele niemieccy będą się mogli chronić pod opiekę prawa w razie nadużyć ze strony władzy rządowej i jej agentur.

Dnia 4 i 14 września r. 1946 odbyły się dwa pierwsze wspólne zebrania angielsko-amerykańskiej Rady Dwustrefowej (Bipartite Board), na których ustalono zasady gospodarczej unifikacji obu stref: Postanowiono doprowadzić do jednego standartu życiowego i do jednakich racji żywnościowych w obu strefach. Aby ten cel osiągnąć, przyjęto zasadę, że zasoby przydatne dla obu stref mają służyć obu strefom. Uchwalono prowadzić wspólną politykę importową, przy czym przywóz do każdej z



Strefa amerykańska

obu stref ogranicza się do pozycji oraz ilości zgodnie uchwalonych, a potrzebnych do uzupełnienia zasobów danej strefy i zapewnienia jej określonego przez wspólną uchwałę standartu życiowego. Ustalono, że będzie się prowadzić wspólną politykę eksportową, przy czym eksport będzie się odbywał w ramach wspólnie uchwalonych pozycji oraz ilości. W ten sposób zapoczątkowano tę **gospodarczą** jedność obu stref anglosaskich, która dziś jest w pełnym rozwoju. Niemcy, których dzisiejsi przywódcy dążą, ile tylko w ich mocy, do usunięcia, a przynajmniej do zmniejszenia, ograniczenia, podziału Niemiec na kilka obszarów różnej okupacji, starali się o pozwolenie na utworzenie pewnego rodzaju ciała nadzorczego, złożonego z przedstawicieli parlamentów wszystkich krajów obu stref które by ułatwiało tę wspólną gospodarkę obu stref, stanowiących nadal dwa różne organizmy i systemy administracyjno-polityczne. Powoływali się na różne jakoby trudności natury technicznej. Władze jednak brytyjskie i amerykańskie odpowiedziały na te sugestie zdecydowaną, choć w delikatnej formie wyrażoną, odmową. **Polityczna** unifikacja obu stref jest jeszcze niemożliwa.

— — — — — — —

Za ważny krok naprzód w kierunku zwalczenia ducha hitlerowskiego i położenia podwalin pod budowę demokracji w Niemczech uważa sprawozdawca amerykański uchwalenie przez obecne ciała ustawodawcze Niemców ustawy o ustanowieniu **funduszu specjalnego restytucji,** który ma pomagać materialnie i w miarę możności przywracać mienie osobom prześladowanym przez hitlerowców ze względów: rasowych, wyznaniowych i politycznych. Często oczywiście pełne zadość uczynienie i zupełne odzyskanie utraconego majątku i warsztatu pracy jest dziś niemożliwe. Tendencją więc ustawodawcy jest nie zawsze pełna rehabilitacja i pełne odszkodowanie, tylko raczej doraźna pomoc w dzisiejszej trudnej sytuacji. Ustawa obowiązue we wszystkich strefach okupacyjnych i jest drugą ważną ustawą od czasu uchwalenia ustawy o wyzwoleniu z narodowego socjalizmu i militaryzmu. Sprawozdawca amerykański uważa ją za przejście od pomocy doraźnej i chaotycznej, nie zorganizowanej, do planowego systemu pomocy. W związku z demilitaryzacją Niemiec i akcją odszkodowawczą, zniszczono we wrześniu r. 1946 wiele zakładów i urządzeń przemysłowych i przesłano sporą liczbę maszyn i urządzeń technicznych, tytułem odszkodowania za straty poniesione od Niemiec Hitlera, różnym państwom alianckim, które były pod okupacją niemiecką. Pewną, niezbyt wielką część tych zasobów otrzymały Sowiety wraz z Polską. Od sierpnia r. 1945 do końca września r. 1946 dużo zasobów bibliotecznych, archiwów, dzieł sztuki i różnych przedmiotów kultury, zrabowanych w całej Europie przez Niemców Trzeciej Rzeszy, wróciło do: Francji, Belgii, Czechosłowacji, Polski, Związku Radzieckiego i Austrii (pod nadzorem U. S.). Raport we wrześniu r. 1946 podaje szczegółowe cyfry.

W latach: 1945—46 moralność młodzieży niemieckiej wykazywała głęboko sięgający upadek i szerzyły się choroby weneryczne. Sprawozdanie ze stanu rzeczy w strefie amerykańskiej notuje tylko w ciągu jednego miesiąca **sierpnia r. 1946** liczbę **14.408** leczeń rzeżączki przy zastosowaniu penicyliny. Od początku akcji zwalczającej choroby weneryczne, to znaczy od grudnia r. 1945 do końca sierpnia 1946 leczono tym samym środkiem 87.526 wypadków rzeżączki (gonorrhoca). Do tej cyfry rozpoznanych i właściwie leczonych wypadków choroby musimy oczywiście dodać pewną cyfrę wypadków nie ujawnionych, więc nie dostępnych statystyce. Leczeni z inicjatywy i pod opieką władz Stanów chorzy to głównie dziewczęta niemieckie (mainly German girls).

Nas, Polaków, którzy chętnie zbieramy wszystkich naszych ludzi rozproszonych po różnych krajach Europy, oraz Ameryk, Afryki i Azji, zajmuje statystyka dotycząca osób wysiedlonych, przebywających w strefie amerykańskiej Niemiec oraz ich repatriacji. W ciągu września r. 1946 wróciło do swojej ojczyzny około 21.000 osób; od początku całej akcji repatriacyjnej w r. 1945 wróciło do dnia 30 września r. 1946 około 2.900.000 osób. Dnia **30 września r. 1946** przebywało w specjalnych ośrodkach skupienia strefy USA **około 412.000 osób wysiedlonych (displaced persons). W tej liczbie najsilniejszą grupę stanowili Polacy: 146.000, potem Żydzi: 117.000.** Poza obozami i miejscami skupienia było w tym samym dniu około 179.000 wysiedleńców. **W ciągu września 1946 wróciło ze strefy amerykańskiej do Polski 12.000 naszych repatriantów. Stanowili oni więcej niż 50% wszystkich repatriantów tego miesiąca.**

— — — — — — —

Oficjalne sprawozdanie władzy politycznej i zarazem przedstawicielki zwycięskiego mocarstwa okupującego nie odzwierciedla nigdy całokształtu życia; nie daje pełnego obrazu wszystkich powikłań w kraju, który był teatrem wojny i przeszedł gwałtowne zmiany losu. Mocarstwo prowadzi pewną określoną politykę, a to się odbija w takim a nie innym ujęciu zawsze po swojemu interpretowanej rzeczywistości. Nie można więc oczekiwać całego i w niczym nie sfałszowanego obrazu życia w strefie amerykańskiej Niemiec od oficjalnego sprawozdania Military Governement. Nie ma tam wprawdzie fałszu i blagi w postaci fałszywych cyfr, czy kłamliwych lub bałamutnych informacji — nie ma kłamstwa w zwyczajnym tego słowa znaczeniu. Na to jest poważna instytucja rządowa USA zbyt uczciwa. Ale obraz życia społecznego i politycznego ulega zniekształceniu już wtedy, kiedy, nic nie kłamiąc, ograniczymy się do pewnych tylko rysów i barw obrazu, gdy pewne rysy pomijamy, pewne sprawy przemilczamy. A to się dzieje we wszystkich **urzędowych** rządowych sprawozdaniach o podłożu politycznym. Mimo tej, zrozumiałej zresztą, częściowości obrazu życia w Niemczech okupowanych, nakreślonego przez raporty Zarządu Wojskowego U. S., dużo odczytujemy prawdy z tych suchych, rzeczowych sprawozdań, statystyk i wykresów: prawdy o życiu w Niemczech z lat: 1945 i 1946 i o poważnym **wysiłku cywilizacyjnym** władz Stanów i międzynarodowych organizacji wzajemnej pomocy i współpracy kulturalnej.

Ideą przewodnią pracy Amerykanów w Niemczech miało być zwalczenie ducha narodowego socjalizmu i militaryzmu w narodzie niemieckim oraz wychowanie tego narodu w duchu demokracji typu zachodniego, przy równoczesnej odbudowie sprawności narodu i przemysłu niemieckiego dla dobra gospodarki światowej, współpracy pokojowej i, na pewno nie na ostatnim miejscu, dla korzyści gospodarstwa Stanów Zjednoczonych. Grał pewną rolę także pewien antagonizm w stosunku do Związku Radzieckiego, antagonizm dwóch konkurentów gospodarczych i politycznych.

Materialnej podstawy denazyfikacji i demilitaryzacji Niemiec dawało celowe niszczenie niemieckiego przemysłu wojenego i przeprowadzenie akcji odszkodowawczej i rewindykacyjnej na korzyść okradzionych i prześladowanych przez Niemców narodów i na korzyść potężnych zwycięzców. Wydatna pomoc, udzielona tym gałęziom przemysłu niemieckiego i tym zakładom przemysłowym i warsztatom pracy, których nie uważa się za groźne dla sprawy pokoju, miała na celu odbudowanie siły cywilizacyjnej narodu niemieckiego, którą się uważa za pożyteczną, nawet za niezbędną, dla utrzymania równowagi i umożliwienia przyszłego dobrobytu Europy. Amerykanie, podobnie jak Anglicy, przez cały czas wojny głosili urbi et orbi, że nie walczą z narodem niemieckim, tylko z drapieżnym rasizmem hitlerowców i militaryzmem Prusaków. Łatwo można się domyśleć, że amerykański **big business** nie na to pobudzał odrodzenie przemysłu niemieckiego, aby nie ciągnąć z tego korzyści.

Amerykanie wychodzili z założeń swojego tradycyjnego humanitaryzmu o silnym zabarwieniu utylitarystycznym i anglosaskiego pogodnego empiryzmu. Dożywiano dzieci i starano się zwiększyć zdrowotność; zwalczano plagę chorób wenerycznych wśród młodzieży. Pobudzono rozwój szkolnictwa, a specjalna misja amerykańska opracowała wytyczne organizacji wychowania w Niemczech. Szkoła niemiecka w roku 1946 okrzepła, podniosło się z gruzów zwłaszcza szkolnictwo zawodowe. Na propagandę, na prasę wydano wiele pieniędzy. Oficjalna „Die Neue Zeitung" wychodziła w olbrzymiej ilości egzemplarzy. Zrobiono poważny wysiłek. Czy osiągnięto poważne wyniki?

Ostateczna odpowiedź na to pytanie tylko przyszłość dać może i rozwój stosunków politycznych, który tyle niespodzianek nieraz gotuje. Na razie można stwierdzić, że powstała z popiołów wytwórczość niemiecka i że zapobiegliwi Niemcy wyzyskują każdą sposobność, aby odbudować swą siłę gospodarczą i dojść do takiego zjednoczenia różnych części „Reichu", które jest osiągalne. Gdzie tylko okupanci dopuszczają ich do decyzji i do współrządzenia, tam starają się swą moc odbudować. Gdy przeprowadzono zjednoczenie gospodarki obu stref anglosaskich, Niemcy zgłosili memoriał, w którym starają się uzasadnić konieczność także politycznego zjednoczenia obu stref. Wszędzie starają się być i wszędzie przeprzeć swój wszechniemiecki punkt widzenia. Umożliwiają im to Amerykanie. Wytyczne reedukacji i demokratyzacji Niemców ułożyli Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Szwajcarzy, jednak nie bez pomocy tęgich niemieckich fachowców, prawdziwych i udanych demokratów. Szczegółowe plany nauki i podręczniki układają Niemcy, a choć działa cenzura okupanta, która niejeden projekt odrzuca, to jednak niejedno swoje tajne zamierzenie mogą Niemcy przemycić. Amerykanie nie potrafią się wczuć i wejść w pewne zakamarki duszy teutońskiej i bardzo mało wiedzą o Europie, stąd mogą łatwo wziąć pozory za rzeczywistość i stać się ofiarą fałszywej gry na razie pokornych przemysłowców i różnych speców niemieckich. Różni amerykańscy rycerze interesu i spekulacji chcą zarobić na okupacji, przy czym niewiele myślą o skutkach ich gry dla ich kraju i o szczęściu ciężko rannej Europy. Amerykańscy duchowni, moraliści, reformatorzy, intelektualiści, którzy poważnie traktują hasła odrodzenia moralnego i wspólnego braterskiego pożycia wszystkich ludów świata, przeważnie nie orientują się w ogromie winy Niemców i spustoszenia moralnego wśród tego narodu, a widząc uprzejmie uśmiechniętych i zdyscyplinowanych wychowanków Fryderyka II, Bismarcka i Hitlera, swoje marzenia biorą za rzeczywistość. **Egoizm biznesmenów i utopijna szlachetność metodystów i humanitarnych intelektualistów mogą się stać sprzymierzeńcami tych sfer nacjonalistycznych Niemiec, które marzą o zemście i nowej „świętej wojnie narodu bez przestrzeni życiowej".**

Niemcy starają się także zdyskontować wszelkie, drobne nawet antagonizmy między aliantami, wyolbrzymić wszelkie ich nieznaczne wzajemne ukłucia i dużo sobie obiecują po ich sprzecznościach interesów i różnicach ideologicznych. Błędne pociągnięcia propagandy oraz akcji wychowania Niemców ze strony Amerykanów mogą być pożywką dla podziemnej akcji hitlerowców. Sądzę, że np. gorliwość w mnożeniu kół młodzieży niemieckiej była przedwczesna, a niebezpieczne jest kształcenie przywódców wśród młodzieży o tak żywych tradycjach hitlerowskich. Nie należy się też łudzić, że ideały wychowania amerykańskich wolnych przyjaciół całego świata i pogodnych optymistów opanują rychło ponure umysły mas niemieckich, tępo wpatrzonych w niemieckość i tylko w niemieckość. Taki drobny na pozór fakt, jak wybitnie wroga reakcja publiczności niemieckiej na propagandowy film amerykański o tendencji przeciwwodzowskiej, bardzo wiele mówi.

Anglicy, Amerykanie i Rosjanie wychodzą ze słusznego założenia, że skoro się w roku 1945 nie wycięło w pień wszystkich rycerzy SS i SA, to trzeba jakoś wychować do życia pokojowego naród niemiecki, którego siła biologiczna, mimo krwawej wojny, tylko nieznacznie się zmniejszyła i który nad Polakami np. większą teraz ma przewagę ludnościową niż przed wrześniem roku 1939. Słusznie myślą, że na bagnetach, czy na bombie atomowej, ciągle siedzieć nie można i że wszelki ucisk rodzi reakcję: żądzę odwetu. Ale organizując reedukację i demokratyzację Niemców, powinni się opierać na gruntownej znajomości dziejów i współczesnej duszy niemieckiej. Nie wolno im lekceważyć doświadczeń, które poczynili najbliżsi sąsiedzi narodu Henryka Lwa i Albrechta Niedźwiedzia: Polacy i Francuzi. Nie wolno nam wątpić w moc lepszych pierwiastków duszy ludzkiej, zrezygnować z wiary w siłę wychowania.

— „Dość już zabijać, i Niemcy są ludzie" — powiedział ten sam nasz poeta, który gdzie indziej surowo osądził drapieżne plemię Krzyżaków. Możemy okazać wielkoduszność i przyjąć w przyszłości naród niemiecki do wielkiej wspólnoty narodów zgodnie budujących nową dobrą cywilizację. Ale naród niemiecki musi wpierw udowodnić, że opuścił na zawsze mroczne ostępy teutońskiego lasu i kazamaty zamków krzyżackich. Musi się wyzbyć nienawiści i pogardy i wdrożyć do współpracy z innymi ludami na zasadzie równości i braterstwa. Musi odrzucić ponure nauki Fryderyka Wielkiego, Bismarcka, Hitlera, a powrócić do ideałów Schillera, Goethego, Kanta, młodego Wagnera. Dzisiaj jeszcze naród niemiecki choruje, a swą niebezpieczną chorobą grozi nadal całej Europie. Cała nadzieja w sile dobrego wychowania i mocy prawdziwych obrońców wolności.

Zdzisław Obrzud.

Pieśń o Bernadette

PIERWSZYM tłumaczeniem powojennym z literatury niemieckiej wśród naszej produkcji wydawniczej jest powieść Ericha Marii Remarque'a „Łuk triumfalny", typowy amerykański bestseller, idealny jako scenariusz filmowy, o niewielkich wartościach artystycznych. Jak na pierwszą książkę tłumaczoną po wojnie z literatury niemieckiej daje treść zbyt błahą, by usprawiedliwić miała trud tłumaczki i wydawcy. Sensacyjnie rozbudowane losy emigrantów niemieckich narzucone są na tło epoki dość sztucznie i wydaje się, że autorowi chodziło raczej o opisanie miłosnych perypetii Rawika, niż o sąd nad epoką, jakiego domaga się od niego czytelnik europejski. „Łuk triumfalny" spotkał się ze słuszną ostrą krytyką na łamach pism niemieckich zwłaszcza w strefie okupacyjnej sowieckiej a z krytyki tej warto wynotować zdanie pomawiające autora o sfałszowanie obrazu emigracji niemieckiej. Nadto odsądzono nową powieść autora „Na zachodzie bez zmian" od wszelkich wartości dydaktycznych w dziele wychowania narodu niemieckiego po wojnie. Remarque wrósłszy mocno w amerykańskie pokolenie pisarzy-kapitalistów zatracił zdolność rewolucyjnej oceny epoki. Oddalił się od Europy więcej niż którykolwiek inny niemiecki pisarz emigracyjny a tematyka niemiecka w jego nowych książkach spreparowana została w formie nie przyczyniającej się do narzucenia jej norm, ocen i nadziei jako pozytywnego programu wychowawczego w narodzie niemieckim.

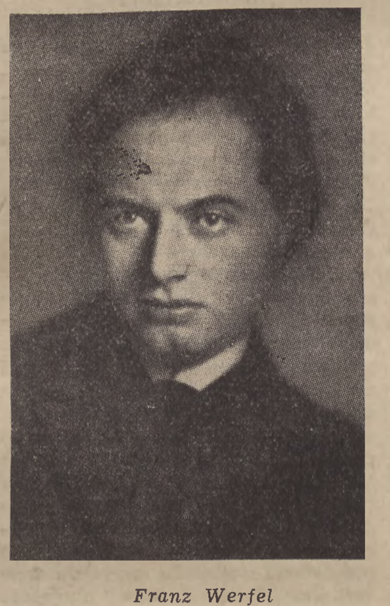
To też fakt przetłumaczenia właśnie „Łuku triumfalnego" na język polski jako pierwszej pozycji niemieckiej po wojnie uznać trzeba za sprawę mody na nazwisko pisarza, — która trwa u nas nadal mimo że przeminęła już za granicą, — niż za istotną potrzebę wydawniczą. A tymczasem są w literaturze niemieckich emigrantów pozycje, które winny być udostępnione czytelnikowi polskiemu czy to ze wspomnianych wyżej względów ideowych czy też z czystej racji artystycznej. Z pierwszej grupy wymienić należy przede wszystkim Anny Saghers „Siódmy krzyż", omawiany już w „Odrze", oraz Theodora Plieviera „Stalingrad", z drugiej Tomasza Manna „Lotta w Weimarze" i Franza Werfla „Pieśń o Bernadette".

Uciekając przed Gestapem, Werfel, znany dobrze także i w Polsce pisarz austriacko-niemiecki, zatrzymał się latem 1940 roku nad granicą hiszpańską a mianowicie w mieście Lourdes. We wstępie do książki pisze: „Skoro wyprowadzony zostałem szczęśliwie z tego trudnego położenia i wolno mi było dotrzeć do zbawiennych brzegów Ameryki, spełnić muszę mój ślub i — zanim przystąpię do innych robót — wyśpiewać pieśń o Bernadette".

Jest książka ta żywotem świętej i kroniką najbardziej zdumiewającego, a mówiąc po ludzku, najbardziej nieprawdopodobnego wydarzenia czasów ostatnich. W postępowej i oświeceniowej atmosferze 19 wieku, wśród sytej mieszczańskiej pogody prowincjonalnej mieściny francuskiej mała blada dziewczyna, wyrosła w warunkach innych nieco niż je dyktował ton epoki (ojciec dzięki wódce z młynarza stał się zwykłym robotnikiem, matka praczka utrzymuje rodzinę, żywot pędzony w Cachot, — dzielnicy głodu, a jakby dla idealnego dopełnienia obrazu w miejskim gmachu powięziennym), mizerota fizyczna wśród rówieśnic w klasie, nie dopuszczona na równi z innymi do pierwszej komunii świętej z tego właśnie powodu, jest świadkiem wielokrotnych objawień Marii Panny w grocie Massabielle na osławionym pagórku karczemnym. W jaki sposób dziewczyna broni swego przeżycia przed jednomyślną niewiarą rodziny, szkoły, kościoła, społeczeństwa; jak to kler i urzędy z różnych powodów walczą z „bredniami" dziewczyny; jak zmobilizowano psychiatrów, męczące przesłuchania i szyderstwo, by zdemaskować „cuda" jako zwykłe oszustwo; jak pomimo to fala ludzka, zdążająca do pirenejskiej mieściny pomnaża sławę; jak nawracają się do cudu szydercy; jak to na naszych oczach powstaje wielki pątniczy punkt, a Bernadette Soubirous znika w klasztorze, by umrzeć tam rychłą i ciężką śmiercią; — oto zarys powieści, w której żywych dialogach i barwnych opisach Werfel po mistrzowsku rozmieszcza prawdę wysnutą z akt biskupiej komisji badawczej i kościelnych procesów kanonizacyjnych.

Godną podziwu jest ta nowa ranga Werfla, ranga hagiografa pierwszorzędnej jakości. Werfel nie tylko wierzy swej Bernadette i kocha ją ale rozumie także głęboko jej naturę, powołanie i rozwój w kierunku świętości. W szkole, należąca do najbardziej tępych uczennic, zadumana, milcząca, z apatycznym spojrzeniem w ciemnych źrenicach, obdarzona jest jednak niezwykłą fantazją i pamięcią. Rezolutne odpowiedzi, którymi przerywała swoją zadumę, zjednały jej przykrą sławę dziewczyny krnąbrnej i bezczelnej. Pochodzi z ludu łgarzy i bajarzy, fantastów i komediantów, którzy „sztukę swoją uprawiają nie tylko dla innych, lecz i dla siebie, gwoli własnej przyjemności".

Godną podziwu jest umiejętność, z jaką Werfel - Żyd opisuje i rozumie katolickie milieu. Prawdziwa i sztuczna pobożność ludu, wspaniałe z respektem narysowane po-



Franz Werfel

stacie księży, dziekana Peyramade, biskupów z Torbes i Nevers, delikatnie podkreślone ich rysy humorystyczne, bogata galeria sióstr z St. Gildarda z Nevers — przy tym niewątpliwie Werfel wykorzystał swe bogate doświadczenia i przeżycia wiedeńskie. Czołową jednak postacią książki, czołową przede wszystkim jako zjawisko pisarskie, jest „Pani". Autor mniej wierzy kościołowi, wierzy małej Bernadette. Ta jego „Pani" porusza nas do głębi i zapada głęboko w pamięć jako jedyne w swoim rodzaju żywe zjawisko boskości. Wbrew tradycji lourdowskiej nie ma Ona nic ze zwykłej w tym wypadku „madonności", nie jest także „Matką Boga" z licznych maryjnych portretów. Nie jest ani „prawzorem macierzyństwa", ani „ideą panieńskości" ani wreszcie „pogodą kobiecości". Nie jest żadną ideą i typem, — jest człowiekiem, osobą, kimś, indywidualności zarysowaną ostro i wyraźnie. Pojawia się niespodziewanie, tajemniczo, własnowolnie. Przynosi posłanie i rozkaz. Piękno pomieszane z ledwo przeczuwaną obcością. Milcząca, poważna i wyniosła często sprawia wrażenie, „jakoby i ona wciąż jeszcze prowadziła walki i zwyciężała wrogów". Mówi do małej Bernadette: „Proszę panią o przysługę, proszę by pani przychodziła do mnie piętnaście dni z rzędu". Antoinette Peyret wydaje się, że w tym tkwi istota oszustwa. „I ty chcesz wmówić w rozsądnych ludzi — szydzi z Bernadette — że ta Pani, dobra dusza z zaświata a może i sam anioł, do takiego jak ty smarkacza powie: Proszę panią o przysługę?" Bernadette zamyśla się i odpowiada powoli: „Tak, to jest rzeczywiście śmieszne... nazwała mnie panią..." Wytrawny odtwórca postaci dekadentów i intelektualistów kreśli tym razem sylwetkę tak prostej a zarazem niezwykłej natury. Kto mu powiedział, jak wygląda przebudzenie się z ekstazy do dnia codziennego, że skłonni jesteśmy przyjąć, iż jest ono tylko i jedynie takie? Dzięki sile swego talentu i intuicji twórczej przekonuje nas, że „Pani prócz uśmiechu i pogodnych pozdrowień kryje w sobie lekki wstręt przed wszystkim, co musi oglądać". Ta książka niechrzczonego jest mocnym i cennym dokumentem charakteru Marii Panny, który cała prawie literatura maryjna ze szkodą dla Jej świętości przedstawiła jednostronnie, zamazując podkreśloną tu najmocniej jego ludzką cząstkę.

Jedno jeszcze jest znamienne w tej niezwykłej książce. W powieści tej ani razu nie występuje Chrystus. Ani w świadomości Bernadette ani w wierze wspaniałych księży czy gorliwych mniszek z Nevers. „Pani" unosi się niejako w próżni, czytelnik z trudnością łączy ją ze żłóbkiem czy z Golgotą, choć ani na chwilę nie ma wątpliwości, kim Ona jest. Ani razu nie nazywa Jej autor Matką Boga, nie porusza w ani jednym słowie Jej stosunku do Chrystusa. To niesamowite milczenie nie może być przypadkiem lub niewiedzą u pisarza, który katolicki świat wierzeń wystudiował w sposób tak dokładny i budzący nasze pełne zaufanie. Wydaje się zatem, że wynika to z artystyczno-ideowego założenia autora, który w Jej postaci, nazywanej przecież Zwierciadłem, ukazać pragnął całe chrześcijańskie misterium, dziejące się w duszy ludzkiej, w ten sposób, by zwierciadło powleczone było tchem boskości nienazwanej, ale wszechobecnej, ciszą, która jest blaskiem. Ta metafora była jego programem i jeśli wszystko można z jego książki streścić, to ta jedna sprawa jest tajemnicą jego stylu, talentu, intuicji.

Przekład polski wyrównałby pewne stylistyczne uchybienia, wygładził żargonowy miejscami styl dialogów, wyjaśnił poetyckość. Werfel, który zmarł na początku roku 1945 w Nowym Jorku, dał w tej swojej książce dzieło prawdziwego talentu, stanowiące mocną pozycję niemieckiej literatury emigracyjnej, a dzięki swemu osobliwemu klimatowi ideowemu — niezniszczalne i wieczne. Polacy, którzy spotkali się z Werflem po wojnie u „Jakobowsky'ego i pułkownika" w tej książce ujrzeliby wizerunek prawdziwego poety, myśliciela, szczerego neofity. Jeśli będziemy nadal przekładać z niemieckiej literatury, a czynić to musimy z kilku istotnych względów, dzieło Werfla nie może być pominięte.

WILHELM SZEWCZYK

Tydzień Szczecina

TEATR

5. VII. Na scenie teatru „Komedia Muzyczna" ujrzeliśmy artystów scen warszawskich z Marią Bogdą i Adamem Brodziszem na czele, którzy wystąpili w komedii Romana Niewiarowicza „Kochanek — to ja".

11. VII. W Teatrze „Komedia Muzyczna" wystąpił we własnym wieczorze humoru Leon Wyrwicz.

MUZYKA

11. VII. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej urządziło w auli Liceum dla Dorosłych koncert muzyki fortepianowej w wykonaniu poznańskiej artystki, p. Gertrudy Konatkowskiej. Na program koncertu złożyły się utwory Debussy'ego, Ravela i Chopina.

RÓŻNE

6. VII. Została zamknięta Wystawa Pomorza Zachodniego pod nazwą „Pokazu". Pokaz wytwórczości zwiedziło 18 tys. osób. Rewelacyjny był fakt, że ceny na tutejsze wytwory przemysłu meblowego są 50 proc. niższe, niż w innych częściach Polski. W związku z tym Bułgaria zawarła umowę na dostawę mebli i parkietu. Duże zainteresowanie budziły również stoiska przemysłu ludowego.

Na szczecińskim starym mieście, przy ul. Unisławy, w ruinach zburzonego domu, znaleziono dwie lufy armatnie, pochodzące ze starych, korsarskich fregat z okresu panowania Władysława IV. Zabytki zabezpieczono.

Wśród czasopism

Skierowane tu przed niedawnym czasem pretensje do prasy polskiej o zbyt słabe zainteresowanie sprawami Czechosłowacji osłabia fakt wydania przez redakcję *Myśli Współczesnej* specjalnego zeszytu czeskiego, przynoszącego na przeszło 120 stronach materiał bogaty i nowy, przy tym dosyć wszechstronny i wartościowy pod względem informacyjnym.

Cechą charakterystyczną tego zeszytu jest, że autorami jego są sami Czesi. Zaproszono do współpracy znawców i specjalistów z różnych dziedzin, polityków, ekonomistów, przedstawicieli nauki i sztuki, stwarzając przez to całość dosyć pełną, obraz autentyczny i w dużej mierze wiarogodny. Czytelnik otrzymuje więc informacje z pierwszej ręki, a jego już rzeczą jest wysnuwanie dalszych wniosków natury porównawczej, szukanie analogii i ocen z naszego punktu widzenia.

W pierwszej części zeszytu, noszącej charakter polityczno-gospodarczy nie uniknięto pewnych powtórzeń, które zachodzą w artykułach *Jarosława Prochazki: Odrodzona Czechosłowacja, F. Bauera: Polityczna sytuacja w Republice Czechosłowackiej* i *Jarosława Fukatki: Zmiany gospodarcze w Czechosłowacji po oswobodzeniu.* Szczególnie sporo zbieżności zachodzi pomiędzy dwoma pierwszymi omówieniami, z których pierwsze dąży do objęcia i ukazania całości zagadnień nowego państwa czechosłowackiego, a drugie ogranicza się do analizy najważniejszych jego problemów wewnętrznych, którymi są: współżycie Czechów ze Słowakami, usunięcie Niemców i przebudowa struktury gospodarczej. Ponieważ w części tej mamy jeszcze jeden artykuł gospodarczy *V. Hromadki: Czechosłowacka gospodarka,* łączący się ściśle z artykułem Fukatki, w rezultacie sprawy ekonomiczne mniej lub więcej szczegółowo w podobnych jednak ujęciach i z tymi samymi konkluzjami występują we wszystkich czterech artykułach pierwszej części. Ostatecznie jednak najciekawszym, najbardziej przekonującym i najwartościowszym pod względem informacyjnym są dwa artykuły o charakterze bardziej szczegółowym (Hromadko i Fukatko). Z nich otrzymujemy najlepszy pogląd na — mówiąc żargonem naszych ekonomistów — „model gospodarczy" odrodzonej republiki Czechów i Słowaków i wgląd w poszczególne jej „sektory". Tę część uzupełnia jeszcze sprawozdawczy artykuł *L. Żilki: Szkolnictwo czechosłowackie po rewolucji majowej 1945 r.* Po przeczytaniu pierwszego artykułu zainteresowanie czytelnika w miarę zachodzących nawrotów tematycznych słabnie, by ożywić się znów przy szczegółowym i zwięzłym artykule o zmianach gospodarczych. Inne zastrzeżenie co do tej części zeszytu to forma tych wypowiedzi. Czytelnik zżyma się na nią raz po raz i zaczyna zniechęcać się do lektury. Odnosi się wrażenie, że nie tylko zawinił tu tłumacz *Zdzisław Jerzy Kempf,* który dokonał przekładu całego zeszytu. Chyba już forma językowa i stylistyczna oryginałów zasadniczo do tłumaczenia oryginałów pozostawiała tu trochę do życzenia, gdyż przekład artykułów w drugiej części, na którą składają się rozprawy naukowe, znacznie mniej budzi zastrzeżeń, jest pomimo usterek prostszy, bardziej czytelny a przede wszystkim bardziej poprawny. Tu tymczasem spotykamy wiele czeskich układów składniowych, przekład mniej jasny, dosłowny przy pozornym tylko spolszczaniu niektórych wyrazów i zwrotów a czasem i nieprzyjemne dziwactwa. Do nich należy np. zdanie o zarządzeniu prowadzącym „do likwidacji ciężkiego strumienia nadmiernej siły nabywczej", tłumaczenie nazwy „narodni vybor" jako „narodowy wydział" zamiast zrozumiałej dla Polaka „Rady Narodowej", albo w końcu takie zdanie: „Prawdą jest, że w zagranicznej i krajowej walce obronnej oraz oporze przeciw agresji trwaliśmy w kontynuacji tzw. pierwszej republiki (1918—1938). Było to naszym wielkim wkładem na korzyść zagranicznego i krajowego oporu, ponieważ wielu nie uznawało „intronizacji" dra Hachy i jego rządu".

Część druga zeszytu nosi charakter naukowy i obejmuje zasadniczo trzy rozprawy: *Arnoszta Kolmana: O niektórych filozoficznych problemach dzisiejszej fizyki,* w której uderza bardzo swobodne operowanie terminologią zaczerpniętą ze współczesnej retoryki politycznej, *Jana Mukarzovskiego: O ideologii czechosłowackiej teorii sztuki* i *Karola Krejczigo: Tło społeczne ideologii słowiańskiej w Czechach.* Trochę przypadkowo na końcu tego działu znalazł się artykuł *F. A. Nowaka pt. Ochrona przyrody i krajobrazu.*

Mukarzovsky daje przegląd aktualnych zagadnień teoretycznych w dziedzinie sztuki, wybijających się w ostatnich latach w Czechosłowacji na plan pierwszy. Czołowe z tych zagadnień to zagadnienie struktury dzieła sztuki. Czechosłowacka teoria sztuki ustala dwie normy tej struktury, pierwsza z nich pochodzi od artysty, druga tworzy środowisko społeczne. I ta druga jako zespół artystycznych nawyków i pojęć, jako norma ponadosobowa jest ważniejsza i zasadnicza dla struktury dzieła. Drugi problem to zagadnienie, czy dzieło sztuki jest „wyrazem" społeczeństwa, czy „znakiem", służącym pośrednictwu pomiędzy dwoma stronami, z których strony te — twórca dzieła i odbiorca — nie mogą być utożsamiane z postawą czynną i bierną. „Cała wewnętrzna budowa dzieła artystycznego obliczona jest na to, aby się w świadomości odbiorców kształtowała jako jednolite ściśle wewnętrzne znaczenie, którym artysta przemawia do społeczeństwa. Ten całkowity sens dzieła wiąże je z systemem wartości obowiązujących w społeczeństwie, a więc z jego ideologią. Dzieło artystyczne reaguje na tę ideologię i bierze udział w jej przetwarzaniu jako całość, nie tylko pewną grupą swych elementów, zwłaszcza nie tylko swą treścią". Trzecie z omawianych w rozprawie zagadnień stanowi funkcja dzieła sztuki. Autor stwierdza jej wielorakość, ewolucyjność i zmienność. Następnie referuje poglądy na estetyczne i pozaestetyczne funkcje dzieła sztuki, stwierdzając ich wzajemne daleko idące przenikanie się. Problem ten został w Czechosłowacji dokładnie opracowany dopiero w zakresie architektury, w której najwyraźniej zachodzi fakt silnej ingerencji potrzeb pozaestetycznych i postulatów społecznych w proces twórczy. To prowadzi do stwierdzenia: „Sztuka przez to właśnie, że musi na pozór przeciw swej naturze stale wkraczać praktycznie w proces życiowy, odnawia swoją budowę estetyczną".

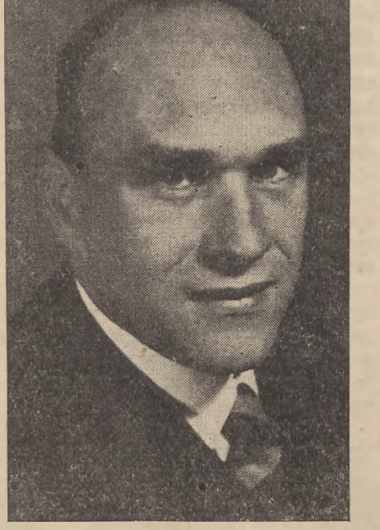
Artykuł K. Krejczego kreśli rozwój idei słowiańskiej w Czechach, jej poszczególne etapy i formy w oparciu o założenie, że rozpowszechnienie i ugruntowanie idei słowiańskiej może nastąpić tylko na gruncie odpowiednich warunków społecznych, przy wyrobionej strukturze socjalnej poszczególnych partnerów słowiańskich. W myśl tej słusznej idei przedstawia przemiany, jakim idea słowiańska ulegała w Czechach w ciągu wieków do momentu, gdy przejęło ją mieszczaństwo czeskie, które pierwsze jako warstwa społeczna mogło nawiązać trwałe kontakty z odpowiednikami socjalnymi w innych państwach słowiańskich. Po pierwszej wojnie światowej idea słowiańska jako idea warstwy mieszczańskiej stała się anachronizmem a na rozszerzenie bazy społecznej tej idei brak było jeszcze warunków. Dopiero przemiany społeczne w krajach słowiańskich po drugiej wojnie otwierają przed nią nowe perspektywy.

Cenna i zwięzłe zestawienie jest kronika tego zeszytu *Myśli Współczesnej.* Obejmuje ona omówienia życia teatralnego w Czechosłowacji, produkcji filmowej, twórczości plastyków i muzyków. Wszystkie te omówienia przynoszą dużo wartościowego materiału. Uzupełnia je specjalnie ciekawy artykuł o polityce kolonizacyjnej na terenach pogranicznych opuszczonych przez Niemców. Szkoda, że nie znalazło się tu jeszcze nieco miejsca na omówienie zagadnień literackich. Specjalny zeszyt „Twórczości" też nie poruszył tego tematu. Tak więc obydwa te wydawnictwa specjalne, bardzo pożyteczne i dobre, nawet razem wzięte wykazują tę przykrą lukę natury informacyjno-sprawozdawczej. *(ki)*

Laureat »Odrodzenia«

Po raz drugi w tym roku przyznana nagroda literacka tygodnika „Odrodzenie" zdobyła sobie po wojnie bez wątpienia walor nagrody państwowej. Nie tylko przez wysokość sumy pieniężnej, jaką otrzymuje laureat, ale również i przez dobór jury, który nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Ponadto także i przez to, że Państwo nie pokusiło się dotychczas o wyznaczenie prawdziwej państwowej nagrody literackiej. Po trzech latach, które upłynęły od daty Manifestu Lipcowego jest to fakt co najmniej dziwny.

Nagroda „Odrodzenia" przypadła w tym roku *Jarosławowi Iwaszkiewiczowi.* Trudno było o szczęśliwszy wybór. Iwaszkiewicz reprezentuje dzisiaj bez zastrzeżeń najwyższą klasę prozy polskiej. Stwierdzić to trzeba pomimo faktu, że nie dotarły jeszcze do rąk czytelnika i krytyka nagrodzone obok zbioru „Nowa miłość" „Nowele włoskie". Słusznie stwierdziła Maria Dąbrowska, że przyznając nagrodę Iwaszkiewiczowi, jury było w poważnym kłopocie, którą z jego powojennych książek wysunąć na plan pierwszy. Wszystkie były równie godne tego zaszczytu. Oswojona z literaturą okupacyjną publiczność literacka i krytyka mniejszą uwagę zwróciła na „Starą cegielnię", więcej natomiast uznania i pochwał poświęciła „Nowej miłości", w którym to zbiorze Iwaszkiewicz zafascynował i zarazem zaniepokoił dwoma opowiadaniami: „Bitwa na równinie Sedgemoor" i „Matka Joanna od Aniołów". Mówiło się nawet i pisało, że tom „Stara cegielnia" to po prostu gest świetnego pisarza, który pragnął pokazać, że nie zapomniał o najaktualniejszej i najbardziej bolesnej problematyce współczesnej.



Bezsprzeczny jest fakt jeden: proza Iwaszkiewicza urzeka nawet tych, którzy chcieliby się przeciw niej całą siłą buntować, którzy najwyżej mieliby się ochotę zgodzić na mądry witalizm i organizowanie życia pokazane w noweli „Róża". Tutaj Adam Ważyk mógłby się pogodzić z O. Pirożyńskim, gdyż obydwaj skłonni są twierdzić, że postawa pisarska Iwaszkiewicza to „zaśmiecanie wyobraźni". W pierwszym wypadku przez poddawanie się życiu i historii, w drugim wiadomo przez co... I zdaje się właśnie o to chodzi, że Iwaszkiewicza nie da się wcisnąć w żaden z ustalonych systemów ideologicznych, że w ramach żadnego zdogmatyzowanego światopoglądu twórczość jego się nie mieści. Chodzi o to, że w jego twórczości pojawia się człowiek ponadczasowy, ponadkoniunkturalny, człowiek najprawdziwszy, który raz zwycięża a raz przegrywa i nigdy nie wiadomo według jakich praw to zwycięstwo osiąga lub tej klęski doznaje. Iwaszkiewicz nie uznaje postawy heroicznej. Jeśli jego bohaterowie mają w sobie czasem coś z heroizmu, dochodzą doń zawsze jakimiś tajemniczymi a zarazem całkowicie naturalnymi drogami. I heroizm ten nigdy nie jest bez sensu choćby się tak nawet na pozór wydawało. Choć w przebiegu realnych faktów wydaje się on czymś niepotrzebnym i zbędnym, istotny jego sens leży w jego dokonywaniu się, w jego istnieniu, w tym, że stanowi on sens jakiegoś fragmentu życia danego człowieka. Wiadomo, że życie i historia mogą przejść do porządku nad wysiłkiem ks. Suryna, nad poświęceniem Anny, nad straceńczym gestem Wacka i nad wymiarem sprawiedliwości dokonanym przez starego Durczoka, ale rzecz w tym, że ci ludzie dokonują tego z wewnętrznej potrzeby, która nadaje sens ich indywidualnemu życiu, że tylko autor może skomentować ich czyn czy ofiarę w sposób niweczący jej celowość. Jeśli mimo wszystko to, czego chcieli dokonać, poszło w ostatecznym rezultacie na marne, to już nie ich rzecz. Oni byli po to, żeby przeciwstawiać się życiu. Mam głębokie przekonanie, że gdyby każdemu z tych „bohaterów" pokazano w jakiś sposób ex post bezpłodność jego życiowego trudu czy ofiary, kazano ujrzeć bezowocność ich postępowania, żaden z nich nie żałowałby swoich czynów, bo one stanowiły sens ich istnienia. Przez nie mimo wszystko manifestowali oni celowość swojego bytu, ratowali się od przemijania. Spójrzmy jak spokojni są ci ludzie w momencie, gdy pióro autora wydaje nad ich życiem sąd ostateczny. Są tak spokojni, jak człowiek, który w godzinie śmierci patrzy tylko w przeszłość i umiera świadom, iż nie zmarnował życia. I to jest chyba ten metafizyczny, czy mistyczny, jakby inni określili — rdzeń spojrzenia Iwaszkiewicza na człowieka.

Realizm Iwaszkiewicza jest jakimś realizmem do kwadratu, realizmem sięgającym w najgłębsze tajniki mizernej i skomplikowanej do nieprawdopodobieństwa psychiki człowieczej.

Nie bez powodu przy omawianiu twórczości tego pisarza pada często nazwisko Josepha Conrada. Nie bez powodu dlatego, że Iwaszkiewicz okazał się przynajmniej równym mistrzem w gatunku literackim, który określamy mianem „opowiadanie", a jeszcze więcej nie bez powodu wobec faktu, że ludzie Iwaszkiewicza reprezentują ten sam „heroizm wierności" wobec samego siebie, który Kottowi podobało się nazwać heroizmem głupoty. Mieszczańskiej głupoty dla ścisłości. Brzmi to może paradoksalnie, lecz jest w tym chyba coś z prawdy, że twórczość Iwaszkiewicza jakby wypełniała tę lukę, jaką możnaby dostrzec w literaturze naszej przez odejście Conrada.

Wysoki kunszt artystyczny Iwaszkiewicza sprawia, że książka jego przepływa przez świadomość czytającego jak strumień piękności, pozostawiając wrażenie czegoś niesłychanie prostego i naturalnego w swej doskonałości i harmonii. Tajemnicą tego kunsztu jest, że go się zupełnie na pierwszy rzut oka nie widzi i nie odczuwa, że nie znać na nim ani śladu roboty, żadnego szwu czy retuszu. Narracja Iwaszkiewicza układa się w nieskazitelnie budowane, pełne wewnętrznego ładu, równowagi i zarazem swobody okresy których rytm nie ulega zakłóceniom nawet w końcowych momentach opowieści, gdy dochodzą one do niezrównanej zwartości, gdy w kilkunastu czasem słowach, w kilku zdaniach odsłania w nich autor cały przejmujący tragizm swoich bohaterów, nie pozbawiony jednak cech klasycznego katharsis. Z tej harmonii i równowagi nie wypada proza Iwaszkiewicza nawet w takich momentach ujawnienia się samego autora, jego bezpośredniej ingerencji, jaką widzimy w zakończeniu opowiadania „Róża". Pomiędzy powieścią poetycką „Zenobia Palmura" a „Nową miłością" leży długa i zawiła droga wspaniałego, konsekwentnego rozwoju Iwaszkiewicza — artysty, pisarza chyba najbardziej dziś u nas wszechstronnego, bo świetnego liryka, doskonałego dramaturga, którego „Lato w Nohant" weszło do żelaznego repertuaru teatru polskiego na równi ze sztukami Szaniawskiego, i prozaika, dla którego artyzmu bardzo ostrożnie należałoby szukać analogii, którego styl nie pozostał i nie pozostanie bez wpływu na rozwój prozy polskiej.

Zdzisław Hierowski

List z Wybrzeża

Rada Sztuki i Kultury Artystycznej województwa gdańskiego ogłosiła konkurs na nowelę o temacie marynistycznym, przeznaczając na fundusz nagród kwotę 150.000 zł. Pierwsza nagroda wynosić będzie 60.000 zł. Zamknięcie konkursu przewidziane jest na 1 października rb., po czym nastąpi praca jury. Skład komisji nie jest jeszcze ustalony. Sekretarzem konkursu wybrany został redaktor M. Brandys.

Tym szczęśliwym wystąpieniem Rada Sztuki i Kultury dowiodła, że sprawa zainteresowania społeczeństwa problemami morskimi leży jej na sercu. Uboga, bardzo uboga jest u nas dotychczas literatura marynistyczna. Nie nasiąknęliśmy jeszcze tym nowym żywiołem, który nas teraz oblał szeroką falą. A powinniśmy go wziąć w siebie i przeistoczyć się wewnętrznie, bo ludzie morza to całkiem inny rodzaj i od szczurów lądowych różniący się znacznie. Musimy wychowywać ten typ człowieka o silnych i sprawnych muskułach i hartownej żelaznej woli, a współpracować w tym dziele musi literatura.

Tak jakoś dziwnie się składa i ma to swoje przyczyny, że kilku marynistycznych pisarzy z naszej gromadki literatów nadmorskich, i ci maryniści z zawodu, jak Janusz Stępowski, Edwin Jędrkiewicz, Mieczysław Zydler, i ci, co teraz dopiero w morzu pióro swe zamaczali — nie mają możności drukować. Tak więc cicho jest w literaturze o naszym morzu. Nie mamy pisma, które służyłoby naszym wypowiedziom odmorskim. „Wiatr od morza" po 6 miesięcznym chlubnym żywocie — chlubnie wychodzić przestał. Nie dotarł do wnętrza kraju, nikt się nim nie upoił, nikt nie słyszał jego nawoływań, nie owiał nikogo, a nie winna temu redakcja. Pismo było przecież dobre.

Inną przyczyną ciszy morskiej w literaturze jest i to, że ci pisarze i literaci, którzy przywędrowali na Wybrzeże z głębi kraju, znają nasz Bałtyk wciąż tylko od plaży sopockiej, zabudowanej tak szczelnie, że nawet na palcach stanąwszy nie zobaczysz morza, chyba, że zapłacisz 20 zł wstępu na molo, albo od pięknej perspektywy ze skweru Kościuszki w Gdyni. Do portów dostać się nie można, na statki nie wpuszczają, najwyżej kajakami przy brzegu poigrać można. O dalszych wycieczkach morskich na razie, z powodu braku statków — marzyć trudno.

Aby o morzu pisać, trzeba się z morzem zetknąć „twarzą w twarz", trzeba je przeżyć w czas pogodny i burzę i trzeba je doświadczyć. To się stanie tylko na pełnym morzu. Wtedy odpadną od nas ckliwe, romantyczne nastroje, a zrozumiemy powagę wielkiego żywiołu. „Morza nie wolno tylko kochać — mówił mi jeden doświadczony marynarz — trzeba je brać poważnie, bo ono bywa przyjacielem, ale umie być i nieubłaganym wrogiem".

I oto, aby temu brakowi choć w części zapobiec — młoda instytucja, pod skromną nazwą „Spółdzielni Morskiej", ale mająca ambitne plany kulturalno - propagandowe — wystąpiła z projektem uruchomienia kutra rybackiego, który eksploatowany handlowo, służyłby także za pole praktyki marynistycznej artystom, malarzom i pisarzom, zmuszając ich jednocześnie do udziału w ciężkiej pracy rybackiej. Nie, broń Boże, aby sami literaci łowili ryby, może gdzie niektóry z nich potrafiłby wyłowić jakąś z mętnej wody, ale nie z morza, chodzi tylko o to, aby współpracowali, brali udział w połowach z podkasanymi rękawami u koszuli, z wodą w dziurawych butach ciągnęli sieci, wyprężając grzbiety i osmalając je na ostrych wichrach.

Ta myśl zdrowa i piękna, czekać będzie realizacji tzn. decyzji głównego Inspektoratu Rybołówstwa Morskiego, który dysponuje kutrami. Tymczasem bierzemy udział w konkursie.

Amelia Łączyńska

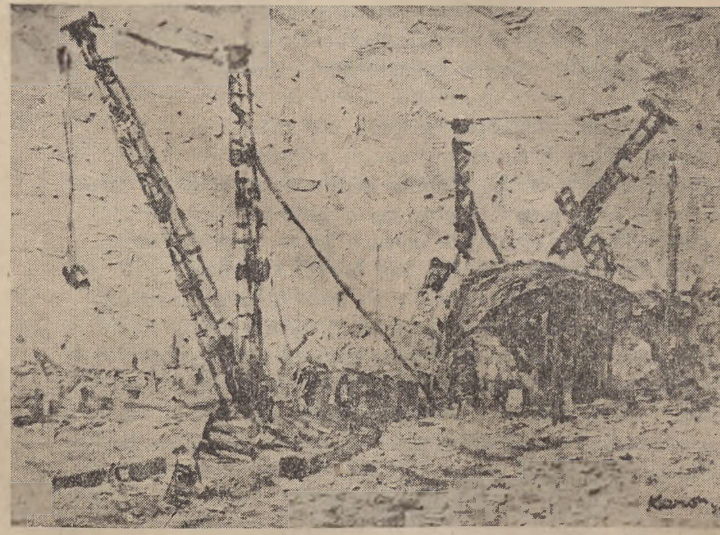
„Odbrązowiaczowi" Kasprowicza fraszka

W pewnym tygodniku literackim podano w wątpliwość poetyckie wartości Kasprowicza.

Trochę to dziwne, przyznaj, i dla nas to nowe,
że jak zwyczajny ceper depcesz po Kasprowym;
on by się na twym miejscu tak bardzo nie żalił,
lecz wielkiego stać na to, by mniejszego chwalił.

Al.

Wystawa plastyki w Szczecinie



Z. Konopowicz: Dźwigi przy pracy

W dniu „Święta Morza", staraniem Zarządu Głównego Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Warszawie, zorganizowana została na terenie Szczecina wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki, na którą składają się prace związane z morzem polskim i terenem Ziem Odzyskanych. Udział w niej biorą artyści dobrze już znani, jak również młodsza generacja plastyków, która zdobywa się na indywidualne koncepcje, własny wyraz. Wystawa obejmuje ok. 150 eksponatów. Są to prace Borysowskiego, Bielskiej - Tworkowskiej, Cygańskiej-Walickiej, Gepperta-Goldberga



W. Lam: Port w Gdańsku



L. Bielska - Tworkowska: Rynek w Szczecinie

Jasińskiej - Żuławskiej, Konopowicza, Lama, Michałowskiego, Niewisiewicza, Pochwalskiego, Podsadeckiego, Preyznera, Rosensteina, Sterna, Szwacza, Suchanka, Tomaszewskiego, Wnukowej, Wodyńskiego, Żuławskiego, Żukowskiego i innych. „Wystawa ta — jak pisze „Kurier Szczeciński" — otworzyła się sama, a na jej otwarciu niestety nie było widać żadnego z przedstawicieli już nie centralnych, ale nawet miejscowych władz". Bolesne jest jednak to, że ta ciekawa, zakrojona na szerszą skalę wystawa, pierwsza na terenie Pomorza nie ma powodzenia i zaledwie nieliczna garstka ze świata inteligencji Szczecina przybyła, by ją zwiedzić. — Sale świecą nadal pustkami, gdyż reszta tych, którzy powinni byli ją zwiedzić pozbawiona widocznie potrzeby wznioślejszych wzruszeń, nie przywiązuje wielkiej wagi do tego wydarzenia i przechodzi obojętnie obok prac, pomnażających dorobek kultury plastycznej Ziem Odzyskanych. Któż wobec tego jest dziś



M. Tomaszewski: Woda sodowa z panem

„mecenasem" sztuki, ilu kupuje dzieła, ilu rozumie, że sztuka to pokarm duchowy człowieka? Bo bardzo nieliczne wypadki zakupów, nagród, lub zasiłków nie zaspakajają chociażby najskromniejszych potrzeb codziennych malarza. Obojętność naszego społeczeństwa, w żadnym wypadku nie sprzyja rozwojowi sztuki.

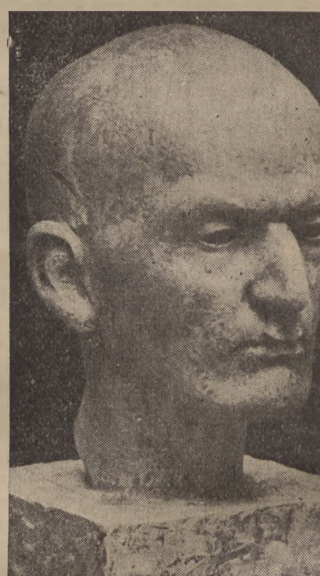
Polska sztuka obracała się dotychczas raczej w sferze zadatków, możliwości, a zarazem w sferze biernego tradycjonalizmu (który dotychczas jeszcze pokutuje), a nie w dziedzinie twórczych koncepcyj i oryginalnych konsekwencyj. Należy zaznaczyć, że wartości jakimi operowano w sztuce, zmieniały się, przybierając coraz to inne formy, coraz to inne stwarzały problemy, a artyści ani na chwilę nie poprzestali na wzorach doskonałych, powstałych przed nimi, a zamkniętych w ramy pewnej doktryny.

Wobec tylu faktów gorszący jest przykład tego odłamu odbiorców, który oglądając pracę naszego współczesnego artysty, rusza ramionami i pogardliwym wzrokiem spogląda na płótno, tłumacząc się, że nie rozumie „malarstwa futurystycznego".

„Gdyby pan namalował jak żywe" — powiada inteligentny paleolita naszej doby, domagając się od malarza, ażeby za wszelką cenę pracował jak aparat fotograficzny, a wówczas uczyniłby zadość jego „wysokim walorom smaku".

Wszelkie najbardziej przekonywające wyjaśnienia, że obraz tworzy się nie na wartościach zdjęć fotograficznych, nie w oparciu o rzemieślniczą rutynę, odbijają się o granit jego głowy, jak groch o ścianę. Zresztą sztuka tworzy się w społeczeństwie taka, jakim jest samo społeczeństwo, jest ona odbiciem inteligencji społeczeństwa, zwierciadłem jej kultury. Toteż widzi się jak wiele kiczów ozdabia wnętrze domów, zamieszkałych przez ludzi, zdawałoby się na poziomie. Myślą też niektórzy, że praca artysty jest rodzajem „kulturalnego nieróbstwa" — rzeczą przypadkową.

Chciałbym więc jeszcze nadmienić, że poczynając od najbardziej odległych czasów człowieka paleolitycznego, który już w jaskini oświetlonej łuczywem zaczął żłobić kontury zwierzęcia, czy inne sceny — człowiek ten wypowiadał się ze swych plastycznych przeżyć, niezależnie od jakiejś rutyny, jakiegoś kanonu. Rył w kamieniu, czy drzewie, bo leżało to już w jego psychice.



L. Krzekotowski: Głowa

Sztuki „nauczyć" się nie można. Można ją tylko rozumieć, lub nie. Malarz Pomorza może tylko śnić o powodzeniu swej sztuki, zadroszcząc człowiekowi pierwotnemu, który odziany w skóry, mając pod dostatkiem pożywienia w naturze, mógł beztrosko tworzyć tak jak chciał, jak to czuł, jakim był sam. Dziś jest już zbyt wiele „dobrych znawców sztuki", których wysokie poczucie smaku może tylko zaspokoić szmira, oleodruk lub fotos.

Z. Niewisiewicz

Foto Tad. Biliński

Krótkie spięcia

„Plon niesiemy, plon..."

Wprawdzie jesteśmy już po żniwach, ale zawsze warto o nich coś jeszcze napisać. Otóż zawsze się zastanawiałem, dlaczego u nas nie mówi się po prostu żniwa, lecz tylko — akcja żniwna. Co to jest akcja żniwna i czym się ona różni od żniw? Zastanawiałem się tak, aż wreszcie przeczytałem w poznańskiej „Woli Ludu" odezwę „Państwowych Zakładów Hodowli Roślin, Inspektoratu Poznań", wydaną przed żniwami do ludu kmiecego, no i zrozumiałem, na czym polega ta akcja.

Akcja żniwna, proszę Państwa, polega właśnie na takich odezwach. Naprzód bowiem przed żniwami trzeba rolnika zachęcić, zaagitować, przekonać i zaapelować do niego, aby zżął swoje żyto, czy pszenicę i zwiózł do stodoły, a gdy go już się zachęci, zaagituje, przekona oraz zaapeluje do niego, to wówczas on to wszystko pięknie zrobi.

W przeciwnym bowiem razie chłopek-roztropek, leżałby przez cały lipiec i sierpień, a kto wie czy nawet i nie wrzesień, do góry brzuchem i czekałby, aż żyto i pszenica same do stodoły zajadą.

Nic więc naszego rolnika, naszego chłopa, naszego kmiecia bardziej nie wzruszy, nie przekona i nic tak nie potrafi wyrwać z jego kosmatej a opalonej piersi bardziej siermiężnego szlochu, oraz nic go tak bardziej nie zachęci do żniw, jak właśnie słowa powyższej odezwy. Naprzód bowiem dowie się on z nich rewelacyjnych rzeczy o dniu na wsi:

„Na wsi każdy dzień w ciągu roku ma swoje własne oblicze, żaden dzień nie jest podobny do drugiego".

Zupełnie słusznie. Tylko na wsi każdy dzień ma swoje własne oblicze. W małych miasteczkach bowiem nie każdy dzień ma takie oblicze, na przedmieściach większych miast, już tylko co dwudziesty może owym obliczem się poszczycić, a w samych miastach, to już w ogóle biedny dzień nie ma żadnego oblicza. Sprawa przysiółków oraz tzw. gmin wiejskich o charakterze miejskim przedstawia się pod tym względem niejasno i stanowi obecnie przedmiot badań „Państwowych Zakładów Hodowli Roślin".

Cóż jednak wynika z tego, że na wsi każdy dzień ma swoje własne oblicze, i żaden nie jest podobny do drugiego? Oto to:

„Dzisiaj wieś stoi przed najważniejszym swym zadaniem, chodzi bowiem o zbieranie owoców z całorocznego mozołu, włożonego w uprawę ziemi, która teraz wywdzięcza się nam i wydaje z łona swego swój plon na pożytek całego kraju".

— Ach racja, święta racja! — zawoła na to każdy rolnik, każdy chłop i każdy kmieć. — Zupełnie zapomniałem, że to właśnie teraz chodzi o zbieranie owoców z całorocznego mozołu, włożonego w uprawę ziemi, która wywdzięcza się nam i wydaje z łona swego swój plon...! A tak byłem przekonany, że to dopiero się dzieje w październiku, albo w grudniu...

Jak to dobrze, że odezwa mi ową ważną historię przypomniała!

No ale rolnik, chłop i kmieć nie zdają sobie zupełnie sprawy ze znaczenia ziarna chlebowego. Nie zdają zaś sobie sprawy do tego stopnia, że odezwa czuje się w obowiązku ich o tym pouczyć w taki sposób:

„Aby ocenić znaczenie ziarna chlebowego, wystarczy przypomnieć sobie skutki nieurodzaju, klęsk głodowych i wojen. Straszne są tego skutki. Głodni gotowi są oddać wszystko za kęs chleba".

Przeczytawszy te słowa rolnik, kmieć i chłop pomyślą wprawdzie, iż żeby ocenić znaczenie ziarna chlebowego nie trzeba zaraz wspominać wojny i klęski głodowej, a wystarczy przypomnieć sobie zwyczajne śniadanie, do którego zasiada się z dobrym apetytem, ale ponieważ katastrofizm jest w modzie, więc podrapią się tylko po głowach i powiedzą: — Acha!

Trudno jednak do siermiężnego ludu przemawiać bez cytowania kilku przysłów. Dlatego też odezwa nie zapomina o nich i cytuje następujące:

„Biedna ta kraina, gdzie się chleb kończy, a kamień zaczyna" — głosi jedno z przysłów! Natomiast gdzie chleb i woda — nie ma głoda! Kto ma chleb, ten ma wszystko. A czy słowa: „Chleba naszego powszedniego daj nam Panie!" nie odzwierciadlają potężnej roli, jaką odgrywa chleb w życiu naszym?"

A odzwierciadlają, odzwierciadlają — ale nie tylko one odzwierciedlają. Mamy jeszcze przecież na ten temat siedemnaście tuzinów innych przysłów, oraz sto trzydzieści pięć tomów utworów poetyckich, nie licząc bardzo bogatej prozy. — Gdybyśmy więc to wszystko zacytowali, dopiero by była prawdziwa akcja żniwna, a same żniwa udałyby się jak ta lala! Ha!

Nie myślmy jednak, aby „Państwowe Zakłady Hodowli Roślin" zapomniały zupełnie o poezji, względnie raczej o poetyckiej prozie. Skądżeby! Czytamy bowiem na zakończenie odezwy tak:

„Wtedy to, strudzony żniwiarzu, będziesz miał prawo kroczyć po dokonaniu żniw za zbożowym wieńcem, nie ze złota ani ze srebra, lecz z diamentowego żyta, z bursztynowej pszenicy i podzielić się żniwnym chlebem, tym najcenniejszym diamentem tej szarej ziemi, który ma w sobie czerstwość skiby rolnej, zapach kłośnego pola, wilgoć rosy wieczornej. Zatem wspólnie: Do roboty! Z całych sił!"

Zatem wspólnie: Do pisania odezw! Do ględzenia! Do zajmowania czasu sobie i innym! Do bzdurzenia! Do zawracania głowy! Do kręcenia gitary! Do psucia papieru! Do wywracania koziołków! Do stawania na głowie! Do — — bani!

A ci na wsi przynajmniej będą mieli jaki taki zapasik papieru klozetowego.

NIEJAKI X.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 14434